

WYCHOWUJMY!

DOROSŁYM O DZIECIACH

Nr 2/2021



**Babcia i Dziadek
XXI wieku**

3

**Helikopterowi
rodzice**

16

**Księżę, księżniczka
i wierni poddani?**

23

**Co wynieśliśmy
ze zdalnego
nauczania?**

34

TEMAT NUMERU

Pokolenia

Czego rodzice pragnęliby doświadczać od dziadków swoich dzieci? Jak dziadkowie mogą realnie wpływać na wychowanie swoich wnucząt? – w niniejszym numerze pisma „WychowujMY!” chcemy wspólnie zastanowić się nad relacjami rodzinnymi między pokoleniami w kontekście wychowania.

SPIS TREŚCI

ROZWÓJ DZIECKA

Babcia i Dziadek XXI wieku – czy to się da?	3
Młodość a relacje	6

W RODZINIE

Z wizytą u dziadków	10
Dom wielopokoleniowy	12
Babcia i dziadek, czyli o pokoleniu, które nie chce być sobą	14
Helikopterowi rodzice	16
Dyscyplina (troska o człowieka)	18

W ŚWIECIE I SZKOLE

Dobre tradycje nigdy nie przestają być potrzebne	20
Książę, księżniczka i wierni poddani?	23
Wróćmy do stołu	25
Spod tablicy	28

W SIECI

Jak babcia i dziadek mogą oderwać od smartfona?	30
Co wynieśliśmy ze zdalnego nauczania?	34

GŁOS DLA MEIN

Poznaj Polskę	37
---------------------	----

KLASYCY WYCHOWANIA

O wychowaniu wieśniaczym	39
Prymas Stefan Wyszyński	41

SPOTKAJMY SIĘ

Ofiarowany czas	43
Spódniczka ze starej podszewki	51
Książki o babciach i dziadkach	53
Z filmami na co dzień	55
Dziadkowie też grają w gry	58
Środkowe Pomorze – wakacje, które nie miały prawa się udać	60
Re-konstrukcja w ruchu	62
Ludzie listy piszą	68

MIĘDZY POKOLENIAMI

Relacje między rodzicami i dorosłymi dziećmi bywają niełatwe, utkane z gromadzonych latami doświadczeń. Sytuacja komplikuje się dodatkowo, gdy owe dorosłe dzieci same stają się rodzicami, a dotychczasowa relacja „dorosłe dziecko – rodzic” zostaje wzbogacona o relację „dorosłe dziecko – dziadek/babcia moich dzieci”. Różnie rodziny odnajdują się (lub nie) w nowych rolach. Wiele zależy od okoliczności i jakości dotychczasowych więzi. Wrześniowy numer „WychowujMY!” będzie poświęcony właśnie relacjom międzypokoleniowym. Chcielibyśmy wspólnie zastanowić się, jakie trudności i szanse wychowawcze są związane z udziałem kilku pokoleń w tym delikatnym procesie.

Zdawać by się mogło, że współczesna rodzina już rzadko jest rodziną wielopokoleniową. Dorosłe dzieci opuszczają rodziców i często żyją na co dzień w znacznym oddaleniu. Poza tym, dziadkowie dłużej pozostają aktywni zawodowo, a młodzi rodzice poszukują bardziej niezależności niż pomocy. Te wszystkie zmiany, choć mają swoje dobre strony, to czasem utrudniają zaangażowanie w trud wychowania kolejnych pokoleń tym najstarszym, najbardziej doświadczonym.

Z drugiej strony – dziadkowie, często mniej lub bardziej świadomie, rezygnują z wychowywania wnuków na rzecz sztandarowego „rozpieszczania”. Zdaje się nawet funkcjonować powiedzenie, że „rodzice są od wychowania, a dziadkowie od rozpieszczania”. Czy to na pewno dobra droga?

W niniejszym cyklu artykułów – także tych, które znajdziecie Państwo na naszej stronie wychowujmy.pl – postaramy się dotknąć różnych tematów związanych z relacjami między pokoleniami w rodzinie w kontekście wychowania najmłodszych. Chcemy przedstawiać opisywane problemy z różnych stron: rodziców i dziadków, zobaczyć, jak funkcjonują w literaturze i filmie, ale także pokazać przestrzeń, w której budują się więzi – wspólne posiłki, zabawy, tradycje.



KATARZYNA WOZINSKA

BABCIA I DZIADEK XXI WIEKU

– CZY TO SIĘ DA?

Co do powiedzenia w sprawach wychowania wnuków mają dziadkowie? Czy powinni mieć? A może ich rola polega na „dogrzewaniu” młodego pokolenia i osładzaniu mu życia? „Od wychowania jesteście wy, a ja od rozpieszczania bez wyrzutów sumienia!” – takie słowa słyszy pewnie co drugi rodzic w Polsce. Często pada też: „Ja już swoje odchowalam, teraz wy się męczcie, mam prawo do odpoczynku”. I wreszcie: „Po co mam się z nim kłócić, szarpać? Ja wolę odpuścić, nie mam siły na żadne wychowywanie” (gdy trzeba postawić granicę). Z kolei od dziadków, których zdarzało mi się zachęcać do podzielenia się swoimi niepowtarzalnymi skarbami (opowieściami, wspomnieniami, oglądaniem pamiątek) z wnukami, słyszałam: „E, dla nich to nudne, nie zaciekawia ich... Po co, ma komputer...”. Wspólny mianownik tych wypowiedzi to nieobecność w takiej czy innej formie.

Dziadkowie wyalienowani

Spółeczna wartość bycia dziadkiem, babcią od tysiącleci była niezmienna. W czasach o dużo krótszej średniej życia stanowili po prostu rzadki, bezcenny zasób kulturowy. W niepiśmiennych społecznościach sprzed epoki nowożytnej, w których królowała kultura słowna, starsi ludzie byli rodzajem żywych bibliotek. Cytowane wyżej słowa o komputerze są bardzo znamienym dowodem, że nastąpiło zerwanie tej ciągłości.

Dziadkowie urodzeni w latach 40-tych, 50-tych, 60-tych XX wieku, którzy weszli w tę rolę w ostatnim dwudziestoleciu, już po roku 2000, są bodajże najbardziej, uśredniając, wyalienowanym od wnuków pokoleniem. Zapracowały na to zmiany gospodarcze i kulturowe, uniezależniające nas od szerszej rodziny. Jakże? Znikł czynnik nakłaniający do współpracy dla przetrwania – pojawiły się z kolei nowe możliwości, w tym przedłużania aktywności zawodowej i samorealizacji w innych obszarach niż rodzina. Czasem to dziadkowie przejawiają brak zapału do kontaktów, ma-

jąc ciekawsze lub bardziej komfortowe dla siebie zajęcia. Czasem to hobby, czasem dodatkowa praca, a czasem po prostu godziny przed telewizorem.

Kolejny aspekt to rozpowszechnienie się mniej trwałych niż małżeństwo form zakładania rodziny, rozstania oraz osłabienie instytucji małżeństwa. Dziadkom trudno jest odnaleźć się w relacji z byłym mężem, żoną czy partnerem, partnerką ich dziecka – problem pojawia się, gdy to właśnie ten rodzic jest głównym sprawującym opiekę nad wnukiem. Pojawia się też zjawisko „moich” i „nie moich” wnucząt (dzieci żyjących pod jednym dachem, ale jako pochodzące z różnych związków partnerów, niepodlegających na równi władzy rodzicielskiej osób, które tworzą nowy dom). Jest to faktycznie ogromne wyzwanie, nie tylko komunikacyjne, dla całej rozgałęzionej rodziny patchworkowej. Tak trudne, że bardzo często zostawione bez rozwiązania – lub rozwiązaniem staje się utrzymywany na wszelki wypadek dystans.

Po stronie pokolenia rodziców – progresywne mody wychowawcze i tzw. postęp cywilizacyjny są motywem separowania się od dziadków, którzy reprezentują niechciane standardy zachowania czy „niedzisiejsze” przekonania. Internet pełen jest dyskusji na forach dla rodziców, jak reagować i czy nie zerwać kontaktów, gdy babcia czy dziadek wykonuje niechciany przez zaangażowanego w ideologię wychowawczą rodzica gest (chwali, krytykuje, chce dać karę, straszy konsekwencjami, porównuje, próbuje przemówić do ambicji itp.). Rodzic taki jest zwykle przekonany, że właśnie poważnie zagrożona jest psychika pociechy. Czasem (niekiedy słuszne!) wymagania rodziców przerastają dziadków na tyle, że wycofują się z pomocy lub oferują jedynie bierne przechowywanie, przykładowo przed tzw. „kanałami dla dzieci” (cudzystów nieprzypadkowy). Wreszcie: dziadkowie niejednokrotnie mają poczucie, że nie mają zbyt wiele do zaproponowania wnukowi. Brutalnie rzecz ujmując, mogą mu co najwyżej podać ładowarkę do smartfona... i obiad. Z czasem ta fizyczna lub psychiczna nieobecność staje się nową normą.

Dobre praktyki... dziadkowania

Zgodnie ze złotą zasadą, że to, co dobre, rzadko przychodzi bez wysiłku, przełamanie impasu w „dziadkowaniu” wymaga podjęcia wyzwania i pójścia pod prąd powyższym trendom. Relacje z babcią, dziadkiem są równie bezcenne, jak były przez wszystkie tysiąclecia. Żaden postęp technologiczny nie jest w stanie tego zmienić. Dorosły, który jest nośnikiem innych czasów, który przeżył bogate w doświadczenia życie i może się nim dzielić, a przy tym zwyczajnie chce być z dzieckiem – jest z perspektywy psychologicznej skarbem. Mały człowiek dobrze rośnie w otoczeniu innych ludzi, zwłaszcza zróżnicowanych pod względem wieku, i w relacjach z nimi. Wyjątkowa, bezwarunkowa miłość wobec – nawet mało zaangażowanych – babci i dziadka, jaką entuzjastycznie prezentują małe dzieci, jest tego obserwowalnym dowodem.

Mały człowiek dobrze rośnie w otoczeniu innych ludzi, zwłaszcza zróżnicowanych pod względem wieku, i w relacjach z nimi.

Szczególnie cenne jest to, że obecni dziadkowie są prawdopodobnie ostatnim pokoleniem dziadków w historii ludzkości, które... przeżyło swoje dzieciństwo przed epoką cyfrową. Oznacza to ogrom obcych wnukom umiejętności, inną perspektywę życiową i faktycznie wyjątkowy kapitał kulturowy. Warto uwierzyć, że weekend, tydzień czy (w przypadku szczęśliwców) dwa tygodnie wakacji z wnukami to nie jest czas na odwzorowanie stylu codzienności ani puszczenia samopas przed ekrany w ramach „uprawnionego rozpieszczania”. To szansa dla obu stron na przeżycie czegoś wyjątkowego i odkrycie przez wnuka sposobu życia, którego w przeciwnym razie będzie jako dorosły w pocie czoła szukał na warsztatach uważności, minimalizmu, *slow life*... Zwolnić, wyłączyć ekrany, przyjrzeć się przyrodzie. Zrobić coś własnymi rękami. Majsterkować, gotować, wędkować, zbierać grzyby, wspólnie pracować w ogrodzie. Nauczyć własnych zabaw z dzieciństwa. Grać w szachy i chińczyka. Wspominać. Pokazać stary modlitewnik. Wyjąć zdjęcia.

Rozmawiać, spacerować. Zademonstrować swoje zawodowe umiejętności. Uczyć prawdziwego życia. Nie bać się wyłączyć tego wirtualnego.

Zofia Kossak, babcia ośmiorga wnucząt, pisała do przyjaciół w listach, z jakim utęsknieniem czeka i jak bardzo jest szczęśliwa, gdy cała ta zgraja przebywa u niej sześć czy osiem tygodni wakacji! Rok w rok...

Wyrównać braki

Bywa i tak, że rodzice niezbyt dobrze pełnią swoje zadania. Z przepracowania, z powodu ulegania jakimś słabościom, a może z powodu ucieczki przed odpowiedzialnością rodzicielstwa? Tym istotniejsza jest rola babci i dziadka. Jak się w takiej sytuacji zachowywać? Nigdy nie utyskuj przy wnukach na ich rodziców. Przede wszystkim wysłuchuj. Bądź tym dorosłym, który potrafi słuchać porządnie, ze skupieniem, angażując się i tym samym zachęcając do otwartości. Książki dla rodziców o dobrej komunikacji z dziećmi czy o prawidłach rządzących poszczególnymi etapami rozwoju równie dobrze mogą być twoim wsparciem. W ważnych sprawach możesz zająć stanowisko, ale Twoim zadaniem jest działanie na rzecz pojednania dzieci z rodzicami i wzmocnienia ich wszystkich.

Dziel się z dzieckiem swoim doświadczeniem życiowym, zwłaszcza ze swojego dzieciństwa i wieku dorastania. Pokazuj różne możliwości rozwiązania trudnych sytuacji międzyludzkich (pamiętaj, że to pokolenie czerpie wiedzę tego typu głównie z seriali i paradokumentów...). Odnos się do szerszego kontekstu kulturowego, religijnego, przykładów historycznych, na tyle, na ile potrafisz. Nie obawiaj się być autorytetem i oceniać różnych zjawisk, mówić o swoich przemysleniach czy zmianie zdania pod wpływem określonych przeżyć.

I wreszcie: stawiaj granice. Odbiciem lustrzanym „prawa do rozpieszczania” na terenie Twojego domu (z którego lepiej mądrze korzystać, faktycznie dając wytchnienie wnukowi, a nie psując go) jest prawo do określenia granic na jego terenie. Te, w których współczesny rodzic najczęściej niedomaga, to czas gaszenia światła i snu; czas korzystania z urządzeń elektronicznych; regularne i zwyczajne (czyli np. pozbawione energetyków) odżywianie; dostęp do materiałów filmowych i gier z ograniczeniem wiekowym. Odważnie, z poczuciem humoru i gotowością do zastąpienia tych „strat”. To może być jedyna szansa Twojego wnuka!





BOGNA BIAŁECKA

MŁODZIEŻ A RELACJE

Czy współczesna młodzież naprawdę jest inna, czy tradycyjnie – starząc się, zaczynamy idealizować swoje lata młodości i narzekać na młode pokolenie?

Jean Twenge, amerykańska psycholog, dokonała analizy pokolenia urodzonego po roku 2000, udowadniając, że różnice są istotne i znaczące. Oparła się na czterech ogóln amerykańskich źródłach danych dotyczących nastolatków, badaniach prowadzonych regularnie od kilkunastu lat i pozwalających zaobserwować zmiany w postawach i zachowaniach młodzieży. Refleksje swoje zebrała w książce o tytule *iGen* – stanowiącym zabawę słowną, gdyż nawiązuje on do produktów firmy Apple, takich jak *iPhone*, ale w bezpośrednim tłumaczeniu oznaczającym też „pokolenie Ja”. Podstawowym wyznacznikiem tej generacji jest dorastanie ze smartfonem w rękę, wśród skomplikowanych urządzeń nowych technologii, nazywanych też „technologią wysoką”.

Zadania rozwojowe okresu dorastania

Okres wczesnonastoletni to czas zdobywania nowych umiejętności, intensywnego rozwoju intelektualnego i nabywania poczucia sprawczości, kompetencji. Jest to też czas testowania i poszerzania obszarów wolności. Nastolatek sprawdza, ile mu wolno, próbuje wyznaczone przez rodziców granice testować i przesuwać. Domaga się racjonalnych uzasadnień, nie tylko zapewnienia, że te granice istnieją dla jego dobra.

W późniejszym okresie na pierwszy plan wysuwa się kwestia samoidentyfikacji.

Siedemnasto-, osiemnastolatki poszukują własnej tożsamości. Muszą odpowiedzieć sobie na pytania: „Kim jestem? Dokąd zmierzam? Jaki jest sens i cel mojego życia? Czym różnię się od innych? Jaki jest mój system wartości?”.

Mówi się popularnie o buncie nastolatka, jednak to mało precyzyjne uogólnienie. Psychoterapeutka i psycholog pracująca z młodzieżą, Ewa Werstak-Mościcka, ujęła to następująco: „Mam taką teorię, że nastolatki myślą, że są nieśmiertelne. W ogóle nie rozumieją, że są narażone na ryzyko. W ogóle nie odczuwają, że może się im coś złego przydarzyć”. Jest to związane z gwałtownymi zmianami w mózgu i jego przebudową, choć po części też z burzą hormonów. Rezultatem jest skłonność nastolatków do podejmowania zachowań ryzykownych i problemy z samokontrolą. Nie chodzi o to, że nastolatek odrzuca system wartości rodziców i buntuje się przeciw niemu, a raczej, że ulega pokusie chwili. Oczywiście zdarza się też, że konkretna osoba przeżywa autentyczny bunt i sprzeciwia się rodzicom, zwłaszcza jeśli widzi u nich rozdźwięk między deklarowaną a praktykowaną hierarchią wartości. Nastolatki są czułe na hipokryzję.



Nie jest jednak prawdą, że rodzice całkowicie przestają być dla młodzieży autorytetami. Badania Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej pokazują, że rodzice (zwłaszcza mama) są nadal przez młodych postrzegani jako najważniejsi życiowi przewodnicy. Choć postawa wobec rodziców może przybierać postać: „Oj, mamo, tylko ty się czepiasz, inni rodzice nie są takimi dyktatorami!”, jednak sami przyznają, że potrzebują granic i zasad. Chcą być jednocześnie traktowani poważnie, jako partnerzy w dyskusji, a nie jak małe dzieci, którym się zwyczajnie zakazuje robić różnych rzeczy.

Te cechy i zadania okresu dojrzewania są uniwersalne i niezmiennie. Co jednak zmieniło się w pokoleniu „iGen”?

Wpływ sieci społecznych

Badania prowadzone już od kilkadziesiąt lat przez profesora Nicholasa Christakisa z zespołem pokazują, że nasze zachowanie i postawy są wypadkową kilku osób, z którymi mamy najczęstszy i najbardziej intensywny kontakt. Zwykle są to osoby, z którymi fizycznie przebywamy najczęściej – rodzice, rodzeństwo, przyjaciele. Jednak badania pokazały, że mogą mieć na nas wpływ postacie znaczące, z którymi nie mamy fizycznego kontaktu.

Gdy byłem mała, ogromne wrażenie zrobili na mnie bohaterowie *Dzieci z Bullerbyn*. Chciałam być jak oni, naśladowałam ich zabawy i identyfikowałam się z nimi. Z pewnością moje osobiste zamiłowanie do przebywania na łonie natury i prymitywnych zabaw z wykorzystaniem znajdujących się pod ręką rzeczy, takich jak gałęzie czy kałuże, ukształtowało się po części pod wpływem tej lektury. O moim pokoleniu (wychowywanym z dwoma programami telewizji, w której nic ciekawego poza dobranocką nie leciało) można śmiało powiedzieć, że byliśmy kształtowani przez realne osoby, ewentualnie właśnie bohaterów książek, z którymi się utożsamialiśmy.

Najważniejszą cechą współczesności, diametralnie zmieniającą obszar wpływu, jest istnienie wirtualnych sieci społecznych. Osobą najbardziej znaczącą dla nastolatka może być wirtualny przyjaciel, którego w życiu nie spotkał na żywo, lub nawet bohater tasiemcowego, wieloodcinkowego serialu, który budzi jego empatię. Oznacza to, że osobami wpływającymi na nasze dzieci mogą być postacie, o których istnieniu nawet nie wiemy.

Drugą cechą związaną z „pokoleniem smartfona” jest wielkość tej wirtualnej sieci, setki, a nawet tysiące znajomych, czemu towarzyszy z reguły płytkość relacji. Sieć wirtualna nie sprzyja uczeniu się umiejętności społecznych. Dla przykładu – jeśli w kontakcie osobistym ktoś zacznie



na nas wrzeszczeć lub rozplącze się, musimy jakoś sobie z tym poradzić. Pomóc uspokoić się, samemu opanować emocje, nauczyć się czegoś o naturze ludzkiej, wysnuć wnioski na przyszłość. Świat wirtualny sprzyja ucieczce, natychmiastowemu przerwaniu nieprzyjemnego czy wymagającego kontaktu.

Według wspomnianej już Jean Twenge wpływa to na rozwój nadwrażliwości emocjonalnej. Pokolenie dzisiejszych nastolatków określa się czasem mianem pokolenia płatków śniegu – osób nadwrażliwych, które cierpią nieproporcjonalnie do napotykanym wyzwań

emocjonalnych. Oczywiście nie można o to winić tylko wpływu wirtualnych sieci społecznych. Do problemu przyczynia się także kryzys rodziny, galopujący wzrost liczby dzieci wychowywanych w domach rozbitych, patchworkowych czy związkach konkubenckich. Na to nakłada się nowoczesna pedagogika, piętnująca jako przemoc coraz to nowe obszary związane z wychowaniem. Dziś mianem przemocy określa się nie tylko bicie dzieci czy krzyczenie na nie, lecz nawet stosowanie systemu kar i nagród, czy wręcz proste stawianie wymagań.

W rezultacie wielu nastolatków jest autentycznie słabych psychicznie i emocjonalnie, z pewną dumą wchodzących w rolę ofiary i oczekujących od reszty świata, że będzie usuwać przysłówowe kamyczki spod ich stóp.

Pozytywne cechy „pokolenia Ja”

Mimo tych niewątpliwych słabości, Jean Twenge zwróciła uwagę na pozytywne cechy generacji smartfona. Okazuje się, że mimo nadwrażliwości emocjonalnej młodzież ta zdecydowanie mniej niż wcześniejsze pokolenia angażuje się w zachowania ryzykowne. Jako populacja nie sięgają tak często po alkohol, narkotyki, nikotynę. Nie eksperymentują seksualnie. Są bardziej dziecinni – także w sensie zachowywania dziecięcej niewinności. Nie jest dziś rzeczą niezwykłą spotkać na przykład szesnastoletnią dziewczynę płaczącą na filmie animowanym adresowanym do dzieci. Zresztą oni czerpią z tego dumę i przyjemność. Tak jak wcześniejsze pokolenia nie mogły się doczekać, by skończyć 18 lat, zrobić prawo jazdy i stać się prawdziwie dorosłym, nowe pokolenie nastolatków boi się, jak to oni ujmują, „dorosłować”. Wolą nadal mieszkać w domu z rodzicami, spędzać z nimi czas wolny i nie muszą podejmować odpowiedzialności.

Wrażliwość emocjonalna oznacza też większą wrażliwość na innych. Współczesne nastolatki płaczą z prześladowanymi i starają się walczyć z niesprawiedliwością społeczną. Niestety, często decyzje o zaangażowaniu w akcje społeczne są podejmowane pod wpływem emocji, nastroju chwili. W rezultacie angażują się w walki najlepiej nagłaśniane w mediach (głównie społecznościowych). Temu można przypisywać na przykład liczną obecność nastolatków podczas marszów „czerwonych błyskawic”. Wiele uczestniczek tych wydarzeń nie wiedziało nic o celach marszów, wiedziały tyle, że to „w obronie kobiet” – i poddawało się nastrojowi chwili, korzystając też z możliwości emocjonalnego odreagowania izolacji i wielomiesięcznego zamknięcia w domach. Podobnie – i tu znów wracamy do słabości – młodzi angażują się w akcje poruszające ich emocje, co niestety sprawia, że są podatni na manipulacje. Mimo to wielkie serca, empatię, otwartość na innych i wrażliwość na brak sprawiedliwości możemy zaliczyć do cech pozytywnych.

Wyzwania

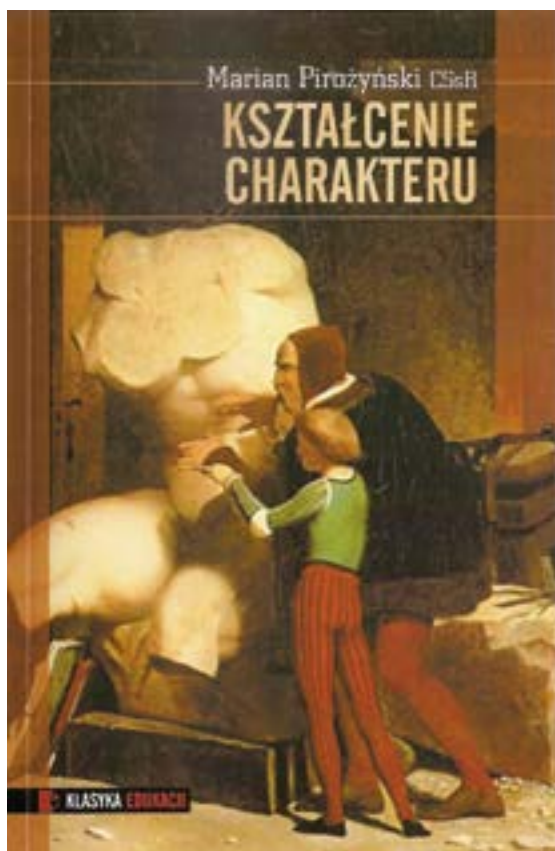
Dla dorosłych młode pokolenie uwikłane w nowe technologie stanowi nie lada wyzwanie. Wiele z nas ze swobodą korzysta z internetu i komputera, jednak nie wyrosliśmy z nimi w dłoni.

Słyszałam doskonałe porównanie – tak jak my nie wyobrażamy sobie życia bez elektryczności i bieżącej wody, tak nastolatki nie wyobrażają sobie życia bez internetu. Oczywiście do pewnego wieku możemy nasze dzieci chronić, choćby nie kupując smartfona, jednak one w którymś momencie wchodzi w ten wirtualny świat. Warto wtedy im towarzyszyć, interesować się nim szczerze i bez niepotrzebnych ocen.

Kolejne wyzwanie to – wbrew modnym tendencjom pedagogicznym – starać się wyposażyć dziecko w najlepszą broń wobec przeciwności losu: silny charakter. W tej chwili nazywa się to z angielska *resilience*, co nie ma dobrego odpowiednika w języku polskim. Można mówić o odporności psychicznej lub właśnie, ze staropolską, o silnym charakterze.

Tylko osoba odporna na frustrację, potrafiąca samodzielnie się obronić i odpowiedzialna rzeczywiście poradzi sobie w życiu. Kluczem do kształtowania charakteru jest uczenie odpowiedzialności i obowiązkowości, połączone z okazywaniem dobrze pojmowanej miłości.

Kiedyś widziałam hasło: „Kocham, więc wymagam”. To bardzo dobre podejście. Zapewniamy nasze nastolatki o miłości, okazując ją i słowami, i działaniami. Bardzo polecam w tym zakresie lekturę książki *Pięć języków miłości* Gary’ego Chapmana. Z drugiej strony warto dawać nastolatkowi dostosowany do wieku zakres obowiązków domowych i odpowiedzialności, zachęcać do wolontariatu (nic tak nie wzmacnia siły charakteru jak zwiększanie puli dobra na świecie) oraz podsuwać prawdziwie wartościowe wzorce – zamiast internetowych idoli. Fascynująca lektura ukazująca pozytywną postać, z którą nastolatek może się utożsamiać, czyni cuda. Tu z kolei bardzo polecam jako pomoc klasyczną książkę wychowawczą *Kształcenie charakteru* Mariana Pirożyńskiego.





PATRYCJA PRZYBYSŁAWSKA

Z WIZYTĄ U DZIADKÓW

Pewność

Świeżo upieczony rodzic staje przed życiową zmianą, na którą nic nie było w stanie go przygotować – taka jest prawda. Pierwsze dziecko to rewolucja, świat staje na głowie (na szczęście z kolejnymi potomkami drży w posadach już nieco mniej). Nic nie jest pewne. Teorie biorą w łeb, mądre książki nie odpowiadają na problemy, a młodzi rodzice zadają sobie pytanie: jakim cudem utrzymają przy życiu to maleństwo, skoro nawet nie do końca wiedzą, jak je trzymać na rękach...

Co w tej sytuacji mogą zrobić świeżo upieczeni dziadkowie, by pomóc swoim dzieciom odnaleźć się w nowej roli? Sprawa jest w sumie prosta – trzeba wzmocnić ich poczucie pewności i kompetencji. Utwierdzić w przekonaniu, że „dadzą radę”. Oczywiście – nie chodzi o to, by zbywać konkretne pytania (bo też wiedza i mądrość życiowa od zawsze przekazywane były między pokoleniami). Jednakże należałoby się powstrzymać od spontanicznego (i pełnego najlepszych chęci) kwestionowania wyborów i sposobów zajmowania się dzieckiem. To nie pomoże, za to powoduje albo utratą pewności siebie młodych rodziców, albo wyrośnięciem niepotrzebnego muru w relacji.

Szacunek

Dzieci szybko rosną (choć początkowo wydaje się, że nieprzespane noce nigdy się nie skończą, za to ręce dźwigające maluchy zdążą wyciągnąć się do samej ziemi). Im są starsze, tym dziadkowie stają się dla nich ważniejsi. I atrakcyjniejsi. Bo są dziadkami – i dobrze, by tak rzeczywiście pozostało.

Zdarza się jednak, że dziadkowie (oczywiście z dobrymi intencjami) wchodzą w kompetencje rodziców. Ustalają zasady (czasem sprzeczne – z różnych względów – z tym, co mówią rodzice), podważają metody wychowawcze rodziców (wobec ich dzieci). Często nawet nie są tego świadomi, bo powyższe elementy często ograniczają się do rzuconych spontanicznie komentarzy lub przemycania łakoci ;)

To nie w porządku przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszy – okazują tym brak szacunku wobec swoich dorosłych dzieci. Jasne, jeśli zauważają coś niepokojącego, widzą (a czasem z perspektywy widać lepiej!), że jakieś metody nie działają, warto, by o tym porozmawiali – ale ze swoimi dziećmi, nie z wnukami. To wzmacnia zdrową relację, w której dla dorosłego dziecka jest się nadal rodzicem (który przecież niejednokrotnie koryguje postępowanie swojej latorośli), a dla wnuka – dziadkiem, babcią, którzy też angażują się w wychowanie, także przez przekazywanie dziedzictwa, tradycji, wartości. Ich rola jest jednak nieco inna niż rola rodziców.

Drugi powód dotyczy już *stricte* wnucząt, którym dziadkowie wchodzący w kompetencje rodziców mogą zafundować pewien dysonans poznawczy. Dziecko łatwo wyczuwa, kiedy dziadkowie nie zgadzają się z tym, co mówią rodzice, i jeśli jest to otwarta krytyka skierowana do wnuka – uczy braku szacunku wobec rodziców. No bo jeśli mądry dziadek, mądra babcia, którzy przecież wychowali rodziców, mówią, że rodzice robią źle, to pewnie tak jest... Pomijam już fakt, że wnuczeta takie napięcia co do kwestii wychowawczych między dziadkami i rodzicami potrafią umiejętnie wykorzystywać do osiągnięcia jakichś doraźnych celów, a dawanie pola do takich kombinacji jest niewychowawcze.

Dziadkowie są od rozpieszczania

Założę się, że każdy przynajmniej raz usłyszał od dziadków swoich dzieci to zdanie: jako usprawiedliwienie złamanych zasad, ponadnormatywnych porcji słodyczy czy spełniania mniejszych lub większych zachcianek dzieci. To pewnie wygodna wymówka, która – co tu kryć – zrzuca z barków dziadka czy babci odpowiedzialność wychowawczą. Pewnie są rodziny, którym w takim systemie jest dobrze: dzieci widzą się z dziadkami kilka razy w roku, rodzice zarzucają na ten czas wszelkie zasady, żeby „dać im się nacieszyć”. Tylko czy to na pewno dobra droga?

Dziadkowie są istotnym elementem wychowania młodego pokolenia. Zarówno jako skarbnica niedocenianej dziś mądrości życiowej, jak i osoby mające realny wpływ na kształtowanie młodego człowieka. Nie byłoby dobrze, gdyby z tego rezygnowali. Ich rola polega na wspieraniu rodziców i udziale w wychowaniu wnuków odpowiednio do częstotliwości spotkań i wieku dzieci. Brzmi poważnie – ale w tym może być sporo tego właśnie sztandarowego „rozpieszczania”. Rozpieszczania wspólnie spędzonym czasem, a nie nowymi zabawkami; ciekawymi wyprawami w lata dziadkowej młodości, a nie słodyczami w tajemnicy przed rodzicami.

Dziadkowie są dla wnucząt ważni. Są też nadal ważni dla swoich dorosłych dzieci, choć może się wydawać, że te już „wyfrunęły spod skrzydeł”, niczego nie potrzebują i mają własny pomysł na wychowanie dzieci, a dziadkowie zawadzają z nieaktualnymi radami. Być może niektóre rady dziadków są rzeczywiście nieaktualne – jeśli jednak dzieci potrafią to zweryfikować, to brawo, dziadkowie – świetnie ich wychowaliście, potrafią aktualizować wiedzę! Jeśli jednak są tylko za takie uważane, bo starają się przekazywać uniwersalne wartości często obce dzisiejszemu światu – przy obopólnym szacunku i zdrowej relacji da się naprawdę wiele osiągnąć.





MAŁGORZATA PĘSKA-SALAWA

DOM WIELOPOKOLENIOWY

Odkąd siebie pamiętam, zawsze żyłam w domu wielopokoleniowym i taki też chciałam założyć.

Miałam wzór. Był to dom mojej ciotki i wuja, tak zwane Zalesie. Na święta do stołu siadało ze 30 osób. Ksiądz na honorowym miejscu, dalej wszyscy nasi powinowaci, a pod stołem często psy i mniejsze dzieci (uwielbiały tam być). Młodzież miała dodatkowy stolik.

Wspólnota, radość z bycia razem, niekończące się opowieści rodzinne z dawnych lat, a wieczorem brydż, słuchanie muzyki, czasem wspólne oglądanie filmu, spacer, a nawet tańce.

Czego się nauczyłam? Tego, że rodzina (w sensie klanu) powinna być często razem, spotykać się i wspierać, a nawet – pomimo waśni (a gdzie ich nie ma?) – móc na siebie liczyć. Starsi byli traktowani z szacunkiem, choć – jak to bywa – ich polecenia nas złościły, a kilka osób samotnych (gosposia, starsza ciocia) miały w Zalesiu dożywocie.

Parę obrazków: ciotka ratująca życie kalekim ptakom i pisklakom; pamiętam gawrony i kawki, które wypadły z gniazda, a nawet gęś oraz małe wiewiórki, no i oczywiście psy i koty. Moja nauka gotowania i pomoc w kuchni ciotce. Do tej pory poszukuję smaku zalesiańskiego sernika. Przepis jest, ale może ręce nie te? I najważniejsze – wieczorne wspólne słuchanie czytanych przez wuja książek, np. *Trylogii* Sienkiewicza. Na szczęście wszystko było nagrywane i kiedy odtwarzali nam to bracia cioteczni w Kanadzie, podczas jazdy samochodem, moja osiemnastoletnia córka nie chciała wyjść z auta, żeby obejrzeć lodowiec, póki fragment z bitwą się nie skończył. A przecież ona nie lubiła *Trylogii*!

No i nostalgia – szczekanie psa, w tle bicie zegara, domowe dźwięki. Och, jakie to piękne!

Co jeszcze? – Zapach jaśminu, którym dom był otulony i widok oświetlonego okna w kuchni z widocznym stołem, do którego, jak wędrowiec do celu, zmierzałam po otwarciu furtki.

Dorosłam, postanowiłam założyć Zalesie II. Dom, do którego wszyscy będą mogli przyjeżdżać i żyć wspólnotowo. Czworo dzieci, brak pieniędzy, ale jednak się udało. Obecnie mieszka z nami najstarsza córka z trójką małych dzieci i z mężem obcokrajowcem. Córka jest stale w drodze, jeździ po świecie z całą rodziną, ale tu ma bazę. Pomieszkują sporadycznie też inne dzieci.

Przez dziesięć lat mieszkał z nami mój tata, zmagający się z chorobą Alzheimera. Dożył 94 lat, a według lekarzy miało to być maksymalnie pół roku po zabraniu go ze szpitala. Tata miał wiele chorób, między innymi wylew krwi do mózgu, udary, zakrzepicę płuc, no i inne. Nie powiem, że było łatwo. Dom był wtedy czteropokoleniowy. Pełno ludzi, pies i kot, a w tym chory dziadek. Początkowo leżący, potem na wózkach, a potem chodzący, a wręcz uciekający z domu, gdy był przerażony i pewny, że znowu jest w gułagu na Syberii. W opiekę nad tatą weekendowo włączała się trójka mojego rodzeństwa. Sprzyjało to naszej integracji i wzajemnemu poznaniu się, bo gdyby nie to, to nie znaleźlibyśmy czasu na częstsze spotkania rodzinne budujące więzi i bliskość. To dzięki chorobie ojca zaprzyjaźniłam się z siostrami. Tata miał urojenia, bywał agresywny, nieprzewidywalny i nas nie rozpoznawał. Trzeba było go pilnować dzień i noc. Miewał też dobre dni, pełne uśmiechu, zadowolenia i wdzięczności. Pamiętam, że po sześciu latach pobytu taty u nas uświadomiłam sobie, że za mało go przytulam, i całuję i że za mało mu mówię, że go kocham. Po prostu wzorowo się nim opiekowałam, ale to było za mało.

Starsi ludzie potrzebują tyle słów miłości i uścisków co małe dzieci, choć jako obiekt są zdecydowanie mniej przyjemni. I zaczęłam to konsekwentnie realizować. Opatuliłam tatę miłością. Może dlatego czekał ze śmiercią, aż wrócę tego dnia z pracy? Może dlatego, kiedy przez ostatnie miesiące leżał już w łóżku, nie kojarzący nic i bełkoczący, całował mnie po rękach? Nie zawsze byłam dla niego taka dobra, jak bym chciała, bo bywał denerwujący i momentami groźny. Przetrzymałam i to, i różne choroby – kilka razy zapalenia płuc, mikroudary, raka skóry. Wszystko w domu. Końcówka jego życia to hospicjum domowe, ale w sumie i wtedy radziliśmy sobie sami. Pięknie umarł. Przytulony przeze mnie, z modlitwami i gromnicą. Spokojnie, bardzo spokojnie. Jestem przekonana, że wyszedł z ciała i poszedł tam wyżej.

Wiem, że Państwo mogą myśleć, że jestem taka cacana, lukrowana i dzielna.

Otóż nie.

Ja go po prostu kochałam, no i dorosłam do takiej decyzji, a mój mądry mąż sam wyszedł z tą inicjatywą i wykonywał przy tacie ciężkie prace: kąpiele, przewijanie, gonienie po osiedlu, no i spacer – długie spacer, wcale nie łatwe.

Od taty dostałam pierwszy pierścionelek (w wieku około 12 lat). Tata nauczył mnie pływać i spływał z nami kajakami, np. Wisłą, na trasie Warszawa – Gdańsk. Tata uczył mnie prawdziwej historii Polski, matematyki i chodził ze mną samą do opery. Jeździł z nami syrenką po całej Polsce. Zamykam oczy i widzę go, jak o zachodzie słońca jedziemy po Helu i tata śpiewa: „Upływa szybko życie, jak potok mija czas, za dzień, za noc, za chwilę razem nie będzie nas...”. Tata odszedł. Mam wielki spokój w sercu, że udało nam się dać mu piękną końcówkę życia. Przede mną następne wyzwania. Teściowa, 88 lat. A tu już nie ma takiej chemii. Może Bóg pomoże?

Bywam bardzo zmęczona i wtedy – chleb oddany – włączają się dzieci. Właśnie wróciłam z Grecji, z wyjazdu z moją najmłodszą córką (29 lat). Opatulona jej miłością i troską. Choć wyjazd prosty nie był. Stary wilk i młody wilk, obie samice alfa. Może po prostu kocha się – pomimo?

Dzieci lubią ten trudny, wielopokoleniowy dom. Kuzyni też.

Ciociu Haniu! Mam Zalesie III!



JACEK BANAŚ

BABCIA I DZIADEK

CZYLI O POKOLENIU, KTÓRE NIE CHCE BYĆ SOBĄ

„Każdy wiek ma goryczy, ma swoje przywary:
Syn się męczył nad książką, stękał ojciec stary.
Ten nie miał odpoczynku, a tamten swobody:
Płakał ojciec, że stary; płakał syn, że młody”.
(*Syn i ojciec*, I. Krasicki)

Kiedy człowiek kończy aktywność zawodową i przechodzi na emeryturę, rozpoczyna jesień swojego życia, tzw. trzeci wiek (po wieku I, czyli młodości – do 25–30 r. życia – i po wieku II, czyli dojrzałym – druga trzydziestka). Każda kultura kształtowała pewien obraz starości, przez pryzmat którego postrzegano ludzi starych. Dziś mamy wyraźnie do czynienia z tzw. juwenalizacją kultury. Wszechobecny wśród nas jest przymus wiecznej młodości, dlatego dobry staruszek to... młody staruszek.

Dominacja zalet i wzorców charakterystycznych dla okresu młodości powoduje, że wielu seniorów robi wszystko, by oszukać starość, powstrzymać ją, by jak najdłużej pozostać młodym. Dotyczy to przede wszystkim wyglądu i ciała – młody wygląd jest niemalże obowiązkiem, bo właśnie taki jest społecznie akceptowalny. I w ten sposób ludzie potrafią przeżywać całą jesień swojego życia. Jesień ta została opatrzona przymiotnikiem „złota” i ma być pełna aktywności, realizacji planów, podróży i marzeń. Mówi się też o „trzeciej młodości” (która stanowi największą estetyzację starzenia się), co często oznacza próbę nadrobienia na emeryturze tego, że nie przeżyło się właściwie poprzednich okresów swojego życia. W efekcie człowiek nie ma czasu

się zestarzeć. Starość definiuje się również jako wstydlivą chorobę, którą należy „leczyć” przy pomocy farmaceutyków i suplementów proponowanych przez nowoczesną medycynę. Obraz starości we współczesnej kulturze europejskiej ma wiele wspólnego z epoką antycznej Grecji oraz renesansu, gdy również panował kult ciała ludzkiego.

Obok kultu młodości drugim czynnikiem mającym istotny wpływ na przeżywanie starości w obecnych czasach jest dominacja cywilizacji technicznej, która, wg Antoniego Kępińskiego, wzmacniając w człowieku poczucie władzy nad otoczeniem, rodzi ostatecznie głęboką frustrację związaną ze starzeniem się oraz bunt przeciwko starości i śmierci. Człowiek w coraz większym stopniu panuje nad przyrodą (podbija kosmos) oraz zjawiskami i procesami w życiu społecznym (w tym gospodarczym), a ostatecznie każdy z nas tracąc siły życiowe, doświadcza ogołocenia, bezbronności i wreszcie nieuchronności śmierci.

Współczesny senior najczęściej chowa swą starość pod maską młodości albo się do niej przyznaje i wówczas zazwyczaj narzeka. Jak trudno dziś znaleźć zadowolonego staruszka! Ograniczenia i problemy starości są bolesnym faktem, którego nie można zanegować. Nie można jednak zamknąć starości człowieka w stereotypach, które wyrażają niepoehlebne określenia: „starość nie radość”, „starość nie sama przychodzi, kupę z sobą chorób wodzi”, czy szeroko rozpowszechnione powiedzenie: „starość jest jedną z tych rzeczy, które się Panu Bogu nie udały”.

Starość ma wiele zalet, ale dziś trudno je nawet nazwać i wymienić, bo prawie nikt o nich nie mówi. Ludzie wszystkich wieków próbowali zrozumieć starość i wielu z nich podkreślało również jej jasne strony. Jedną z najważniejszych zalet wieku senioralnego wskazuje Platon w jednym z dialogów: „im bardziej wiedzna (...) przyjemności cielesne, tym bardziej rosną pożądania i rozkosze związane z inteligentną rozmową” i dalej: „kiedy żądze przestają szarpać i opadają, to robi się całkiem tak, jak u Sofoklesa: można się pozbyć panów bardzo wielu, i to nieprzytomnych”. Tak więc wolność od silnych inklinacji cielesnych oraz mądrość (a przynajmniej zachwyt nad nią i jej poszukiwanie) to dwie istotne cechy starości.

Można powiedzieć, że starość jest najważniejszym, bo rozstrzygającym etapem naszego życia. Jest piękna, bo jest bogata przeszłością, która ją zbudowała (młody jeszcze niewiele widział i doświadczył), ale jest też piękną perspektywą, którą roztacza (chyba że tej perspektywy nie ma i wówczas jest klęską). Wiara chrześcijańska ozłaca starość – ale i całe nasze życie – perspektywą zbawienia. Starość skierowuje nas ku życiu ponadziemskiemu, bo życie ziemskie dla staruszka mocno zawęża się, niczym zamykające się wrota. Starość ma przewagę nad młodością, bo pozwalając przeżyć wszystkie etapy, daje możliwość spełnienia, wypełnienia do końca swojego życia. Życie przerwane za młodu jest pozbawione szansy oglądania dojrzałych owoców egzystencji.

Starość nie jest przekleństwem, gdy się na nią zgodzimy, gdy zaakceptujemy swój wiek i dostosujemy się do niego. Zgorzknienie staruszków najczęściej wynika stąd, że nie są w stanie robić tego, co chcą, a chcą robić to, co młodzi. Starość jest pogodna dla tych, którzy nie żyli tylko dla siebie, nie popadli w skąpstwo, gotowi dzielić się swymi dobrami z dziećmi i wnukami. Starszy człowiek daje młodym (rodzinie) pokój i oparcie, nie tylko w sytuacjach trudnych – sam przeżył wiele kryzysów i wie, że one też przemijają. Jest stały w uczuciach, dlatego można na nim polegać (niezależnie od tego, że z powodu fizycznej słabości sam potrzebuje wsparcia). Taki pogodny, mądry, o godnym usposobieniu staruszek, który nie jest przesadnie skupiony na sobie i nie zamęcza innych mówieniem ciągle o swoich problemach, jest ujmujący dla wszystkich, bo jest „dziełem sztuki rodzaju ludzkiego”.

HELIKOPTEROWI RODZICE

Każdy rodzic pragnie szczęścia swych dzieci. Czy, mając możliwość, ktokolwiek zawahałby się przed uczynieniem życia swojego dziecka lżejszym i przyjemniejszym? Dzieci powinny się bawić, chcielibyśmy je chronić przed troskami. Całe życie będą musiały pracować, podporządkowywać się czasami bezsensownym zasadom, niech spędzą swoje dzieciństwo w beztrosce.

To podpowiada nam instynkt, a niektórym rodzicom – wspomnienia z własnego domu, w którym mieli do czynienia z rodzicami zimnymi czy nadmiernie wymagającymi. Problem polega na tym, że próba usuwania z drogi dziecka wszelkich przeszkód fatalnie wpływa na jego rozwój.

Zjawisko to doczekało się obrazowego określenia: „helikopterowi rodzice” i najkrócej definio-
wane jest jako nadmierne zaangażowanie w życie dziecka. Termin ten ukuty został w roku 1969 przez Haima Ginotta, psychologa i psychoterapeutę dziecięcego. Użył go po raz pierwszy w książce *Między rodzicami a dziećmi*. Nastolatek w niej opisany opowiadał o swojej mamie, krążącej nad nim jak helikopter. Od tego czasu termin rozpowszechnił się, choć jeszcze bardziej popularne stało się niedawno stworzone określenie „rodzica-pługa śnieżnego”. W tym drugim przypadku mamy do czynienia nie tyle z rodzicem nadmiernie zaangażowanym, co sprawującym nad dzieckiem, nastolatkiem, a nawet młodym dorosłym kontrolę, niby pług śnieżny usuwającym najdrobniejszą nawet przeszkodę z jego drogi.

Cechy charakterystyczne rodzica helikopterowego

Cechy charakterystyczne rodzica-helikoptera ujawniają się już, gdy dziecko idzie do przedszkola. Helikopterem jest mama, która wykonuje za dziecko każdą, nawet drobną i dostosowaną do wieku pracę. Widać to na przykład po przedszkolakach, które grzecznie siedzą na ławeczce, czekając, aż mama im założy i zawiąże buciki, a następnie założy kurteczkę. Ofiarą helikoptera jest dziecko, zawsze asekurowane przez mamę, gdy chce zjechać ze zjeżdżalni, którego rączki są dezynfekowane wielokrotnie w czasie pobytu na placu zabaw. Maluch, któremu przedszkole wybierają rodzice na podstawie obfitości zajęć edukacyjnych.

W szkole podstawowej dziecko helikoptera ma telefon z funkcją śledzenia miejsca pobytu, a jeśli jakiś uczeń czy nauczyciel zachowa się nieodpowiednio, pociecha ma gwarancję, że wystarczy jeden telefon, a rodzice (zwykle mama) rozprawią się ze sprawcą wykroczenia. Jego koledzy są starannie selekcjonowani, a masa zajęć dodatkowych dobierana nie na podstawie zainteresowań własnych, a zgodnie z wyobrażeniami rodziców o najlepszych szansach edukacyjnych. Co do zadań domowych – cóż, zawsze są na szóstkę, bo w razie najmniejszych trudności rodzice odrobnią je za dziecko. Starannie wyprasowane, idealnie czyste ubranko przygotowane codziennie rano przez mamę i najwyższej jakości drugiej śniadanie zapakowane do plecaka są absolutnym minimum.



Jako nastolatek dziecko helikopterowego rodzica nadal nie ma obowiązków domowych, lecz z drugiej strony – nie decyduje o swoim wolnym czasie. Kontynuowane jest zaangażowanie w wybierane przez rodziców zajęcia dodatkowe. Każda gorsza ocena powoduje telefon rodziców do nauczyciela z żądaniami wyjaśnień. Rodzice nadal dowożą go do szkoły (nawet jeśli ma dobrą komunikację miejską), a mama dzwoni w czasie dużej przerwy, by upewnić się, że latorośl aby na pewno zjadła przygotowane mu kanapki. Mama siedzi pod drzwiami na egzaminach, a najchętniej siedziałaby na sali egzaminacyjnej, by skontrolować, czy komisja nie krzywdzi jej geniusza.

Pozytywy

Trzeba oddać sprawiedliwość – ten styl rodzicielstwa ma swoje dobre strony. Dzieci helikopterów są zawsze na czas, ubrane w czyste rzeczy, mają zrobione zadanie domowe, a w plecaku pożywne śniadanie. Mniejsze dzieci są zawsze zaopiekowane i wiadomo, że nie wpakują się w tarapaty, co jest korzystne z punktu widzenia bezpieczeństwa. Wiadomo też, że gdy dziecko sobie nie radzi w szkole czy w relacjach, rodzice zrobią wszystko, by je wesprzeć. Inna zaleta – mimo aplikacji śledzących w smartfonie, rodzice nakładają limity czasu spędzanego przed ekranem. Co więcej, na helikopterowych rodziców zawsze można liczyć: zaangażują się w życie szkoły, zorganizują zbiórkę, gdy potrzeba, wynajdą najlepsze oferty zajęć dodatkowych do realizacji w szkole, będą w trójce klasowej.

Negatywy

Dzieci zostają pozbawione inicjatywy. W rezultacie otrzymujemy np. nastolatka, który nie potrafi przygotować sobie samodzielnie posiłku czy uruchomić pralki. Dziecko nie podejmuje wyzwań, bo wie, że i tak rodzice to zrobią za chwilę za niego i to znacznie lepiej. Jest w 100% zależne od dorosłych, także w tych obszarach, których jego rówieśnicy dawno są samodzielnymi. Nie radzi sobie z konfliktami.

Złoty środek

Rodzice są potrzebni, by wyznaczać dziecku granice, jednak potrzebuje ono też doświadczenia negatywnych konsekwencji przekraczania ustalonych zasad. Dopóki nie zagraża to jego zdrowiu czy życiu, potrzebuje uczenia się na błędach. Ważne jest wyznaczanie adekwatnych do wieku zadań do wykonania w domu oraz w zakresie zadbania o siebie (ubranie, drugie śniadanie itp.).

Jeżeli rodzic czuje niepokój, poszerzając zakres wolności i odpowiedzialności dziecka, warto, by zwrócił się o pomoc – poradę psychologa czy pedagoga. Oczywiście nie chodzi o całkowite wycofanie się z życia dziecka. Autentyczne zainteresowanie jego życiem, pasjami jest jak najbardziej potrzebne. Tak samo oferowanie wsparcia. Ważne, by dziecko mogło samo podejmować adekwatne do wieku decyzje. Na przykład o zajęciach dodatkowych zgodnych z zainteresowaniami, o sposobie ubrania (byle dostosowanym do pory roku) itp. Podobnie – jak najbardziej można dziecku pomagać w zadaniach domowych, gdy czegoś nie rozumie, jednak nie tyle wykonując pracę za nie, co podpowiadając, jak ją poprawnie, samodzielnie wykonać.

Pamiętajmy, że dobre rodzicielstwo polega na zasadzie złotego środka – interesujemy się życiem swojego dziecka, zawsze podajemy pomocną dłoń, ale pozwalamy na odpowiedni do wieku zakres wolności i związane z tym uczenie się na własnych błędach. Pozwalamy na samodzielne podejmowanie wyzwań i egzekwujemy też stosowne, kształtujące charakter obowiązki i odpowiedzialności.



ARTUR GÓRECKI

DYSCYPLINA

(TROSKA O CZŁOWIEKA)

Już Platon wiedział, że motorem rozwoju człowieka jest dążenie do doskonałości i że do osiągnięcia w różnych dziedzinach najwyższej sprawności prowadzi wychowanie. Od sił charakteru zależy zdolność ludzi do eliminowania lub ograniczania wad osobowości, a utrwalania jej cech pozytywnych. Dzięki silnemu charakterowi człowiek potrafi panować nad swymi popędami i instynktami. A wszystko to – zdaniem Platona – służy odnalezieniu drogi do bogów i życiu zgodnym z ich nakazami. Filozof ten wskazuje zarówno na silny związek między wychowawczym oddziaływaniem na człowieka z zewnątrz (rodzina, szkoła) a samowychowaniem moralnym, jak również na aspekt indywidualny i społeczny wychowania.

Człowiek, przychodząc na świat, nie posiada odpowiednich sprawności do dobrego działania, musi je dopiero wypracować. Jedną z takich sprawności (cnót) jest posłuszeństwo, którego częścią lub odmianą jest dyscyplina (łac. *disciplina*). Polega ona na samokontroli i pracy nad sobą, pomaga w formowaniu charakteru.

We współczesnej psychologii i pedagogice, w których bardzo wiele mówi się o „prawach dziecka”, o posłuszeństwie i dyscyplinie niemal zupełnie zapomniano. A jeśli się już o nich mówi, to najczęściej w kontekście krytyki tradycyjnego modelu wychowania, a do tego utożsamia się posłuszeństwo z uległością. W jednym z opracowań możemy przeczytać na przykład takie zdanie: „Do pedagogiki konserwatywnej należało więc żądanie bezwarunkowego posłuszeństwa, ostry rygor, kary cielesne, ignorowanie dziecięcych potrzeb oraz ograniczenie samodzielnego myślenia”. Niezależnie jednak od społecznego uznania dla dyscypliny, wszędzie tam, gdzie mamy do czynienia z jakimś „sukcesem” w aktywności człowieka (sport, nauka, wojskowość), oprócz tego, co nazywane bywa fortuną, zawsze występuje element dyscypliny.

Dawnej, w interesującym nas tutaj kontekście pedagogicznym, dyscyplina odnoszona była przede wszystkim do umiejętności uczenia się. Oznaczała ona dzieło ucznia, w przeciwieństwie do nauczania, przynależącego do działań nauczyciela. Mamy tu podkreślone znaczenie porządku w procesie poznawania i działania człowieka. Później przez dyscyplinę zaczęto rozumieć przede wszystkim karność.

Celem działań wychowawczych nie powinno być podążanie za chwilowymi pragnieniami dzieci, ale kształtowanie w nich trwałego zamiłowania do prawdy i dobra, wdrażanie w zdrowe obyczaje, pozwalające uniknąć płytkiego emocjonalizmu czy abstrakcyjnego intelektualizmu. Konieczne do tego jest zdyscyplinowanie rozumu, woli i uczuć. Tylko wtedy człowiek może uzyskać „samosterowność” intelektualną i moralną, a nie zadowalać się rzekomą oryginalnością i niezależnością, polegającą na odróżnianiu się od innych chwilową myślą czy uczuciem.

Dyscyplina pozwala okiełznać drzemiące w nas „siły”, ale również podporządkować się „woli cudzej”, np. rodziców, nauczycieli, przełożonych, przepisom prawa etc. Jest to konieczne ze względu na uwarunkowania naszej natury i porządek społeczny, w którym żyjemy. Sprawność w tym wypadku polega na tym, że umiemy rozpoznać stopień należącego podporządkowania, który jest zależny chociażby od kompetencji osoby, której jesteśmy winni posłuszeństwo, i zgodności formułowanych wobec nas oczekiwań z obiektywnym porządkiem moralnym.

Właściwie rozumiane posłuszeństwo i dyscyplina prowadzą do wolności rozumianej jako zdolność do czynienia dobra w sposób dobrowolny, a nie uwolnienie do wszelkich zasad czy też „wytresowanie” społecznie pożytecznych nawyków. Dyscyplina ma umożliwić nabycie praktycznej umiejętności podporządkowywania swoich odruchów i zachowań poznanej prawdzie i właściwemu dla nas dobru. Człowiek musi „nauczyć się chcieć”. Przynajmniej do pewnego momentu sprawność ta musi być kształtowana również poprzez zewnętrzne oddziaływania wychowawcze wspierające samowychowanie, które jest z nim sprzężone.

Zbytняя pobłażliwość rodziców i innych wychowawców może powodować wielkie nieporządki w życiu i zachowaniu się dzieci. Św. Paweł pisze: „Dzieci, bądźcie posłuszne w Panu waszym rodzicom, bo to jest sprawiedliwe”. Ale dalej czytamy: „A wy, ojcowie, nie pobudzajcie do gniewu waszych dzieci, lecz wychowujcie je przez karcenie i napominanie Pańskie!” (Ef 6, 1. 4).

Dzieci, wbrew temu, co się potocznie sądzi, mają wewnętrzną potrzebę dyscypliny. Życie w świecie, który jest uporządkowany, w którym panują określone zasady, daje im poczucie bezpieczeństwa i tworzy właściwe dla ich rozwoju środowisko.

Posłuszeństwo i dyscyplina, w których przejawia się autentyczna troska o pozyskanie duszy wychowanka dla prawdy i dobra, a nie tylko posłuszeństwo zewnętrznym nakazom, są najlepszą szkołą dla kształtowania woli i charakteru, a gdy zaczyna ich brakować, pojawia się oportunizm i konformizm. Winni o tym pamiętać wszyscy, którzy są odpowiedzialni za wychowanie dzieci.

DOBRE TRADYCJE NIGDY NIE PRZESTAJĄ BYĆ POTRZEBNE

Tradycje to formy życia gotowe do podzielenia przez różne generacje. Istnieją dlatego, że natura ludzka jest społeczna – jako jednostki jesteśmy niesamowystarczalni, potrzebujemy wzajemnej pomocy, w tym i pouczenia czy podpowiedzi co do spraw najważniejszych w życiu. Ta podpowiedź

idzie zaś nie wyłącznie od ludzi żyjących obok, lecz może zwłaszcza od tych, którzy żyli przed nami. Wtedy podpowiedź przestaje mieć twarz ludzi, z którymi konkurujemy lub których czasami podejrzewamy o interesowność – za to staje się głosem spoza aktualnych pól spornych, jakby głosem arbitra, który przychodzi sponad głów dzieci i rodziców.



Podpowiedzi zawarte w tradycjach pomagają nam ukierunkować życie. A równocześnie tradycje dają poczucie, że rozumiemy się z przeszłymi pokoleniami, mamy wspólny „język” nie tylko ze współczesnymi. Gdy spośród rozmaitych starych przedmiotów „po dziadkach” bierzemy do codziennego użycia coś, co jest równocześnie stare i wciąż spełnia swą rolę (np. kapelusz, fotel, szal czy pierścione), nasza codzienność zostaje rozświetlona długim trwaniem, pamięcią o ludziach, szacunkiem i miłością do nich, rozważaniem własnej drogi.

Tradycje są bardziej formami obyczaju niż pojęciami – chociaż w obyczajach zawarte są najważniejsze pojęcia o życiu, jego celu i zadaniach, o jego spełnieniu. W ten sposób nawet najtrudniejsze pojęcia – na miarę najtęższych głów – stają się własnością wszystkich, którzy uczestniczą w zawierającej je tradycji. Mali i dumi, wykształceni i mniej uczeni, skłonni do namysłów i nastawieni na działanie – wszyscy po swojemu biorą udział w ponadpokoleniowej formie życia, która chroni wspólne dobro.

Dotyczy to oczywiście rodziny. Ma ona swoją tradycję – która w naszym świecie chrześcijańskim nie jest już „tradycją rodową”, tylko dziedzictwem przychodzącym od poprzedzających nas i wciąż krzyżujących się ognisk rodzinnych naszych babć i dziadków. To z powodu tego doda-

wania się różnych historii domowych nasze tradycje rodzinne są niemal zawsze wielobarwne. Ponadto do wnętrza rodzin wchodzi tradycja większej społeczności, np. tradycja narodowa. To te małe i duże tradycje czynią z rodziny prawdziwy Dom, coś więcej niż aktualne miejsce życia wspólnoty „nuklearnej”.

Pewne tradycje są nam dane bardzo wcześnie i mocno wpływają na nas od dzieciństwa. Inne odkrywamy dopiero z czasem. To naturalne, że nieustannie konfrontujemy z sobą różne elementy tradycji, tradycje małe i wielkie – i w ten sposób stajemy się sobą.

Istnieje tu zresztą pewna hierarchia dóbr: gdy młodzi ludzie w pewnym momencie buntują się wobec wyborów swoich rodziców, czynią to najczęściej w imię nie tylko limitów swego etapu rozwoju, ale i w imię radykalnie ujętych tradycji. W normalnym biegu rzeczy młodzi w pewnym momencie „egzaminują” starszych z moralnej szczerości praktykowanych tradycji (np. nie do zniesienia będzie dla nich skrzętne ustawianie „dodatkowego nakrycia” w Wigilię, jeśli nie idzie za tym realna pomoc potrzebującym).

Tradycje – jeśli nie zepchniemy ich do poziomu folkloru – mają funkcję ochronną i mobilizującą: osłaniają (powinny!) najłabszych oraz napominają do tego, co niezbędne a trudne. Świętowanie Bożego Narodzenia jest przecież ostrzeżeniem przed lekceważeniem dobra dziecka i rodziny, a np. Święto Niepodległości – nauką o obowiązku i poświęceniu, pracy obywatelskiej dla własnego narodu i państwa. W tradycji rodzinnej, bliższej i dalszej, uczymy tych, którzy dali przykład takiej dobroci i cnoty.

Zatem tam, gdzie jest jakaś społeczność i dobro wspólne, niezbędne są dostępne wszystkim tradycje. Wbrew pozorom tradycje nie są alternatywą dla własnego rozumu poszczególnych ludzi – lecz podpowiedzią dla niego, dawaną zanim rozum sam odkryje sprawy najbardziej oczywiste.



Wraz z osobistym rozwojem człowiek może oraz powinien zgłębiać tradycje własnym rozumem i podejmować je własną decyzją. Wtedy zaczyna odróżniać dwa elementy tradycji: jej odniesienie do nadrzędnego celu wpisanego w człowieczeństwo oraz konkretne sposoby zmierzania do niego. Oczywiście te drugie są podporządkowane pierwszemu, i tak je należy widzieć czy porządkować. Gdy w młodości słyszałem jeszcze o obyczaju wiejskim, że pierwszy łan zbóż kosi się ręcznie (a dopiero następne maszyną), było dla mnie jasne, że ten obyczaj nie jest ważny sam w sobie – lecz razem ze swoim na poły sakralnym rytuałem, od znaku krzyża przed pierwszym ruchem kosy wprowadza nas w inne myślenie o człowieku, jego celu, służbie. Takie znaki tradycji zmieniają się, ale niektóre zachowują swoją lekcję długo.

Zauważyłem, że wraz z upływem lat inaczej patrzę na pamiątki rodzinne – które zresztą w miedzy czasie co najmniej podwoiły swą liczbę wraz z dziedzictwem mojej żony. Gdy co kilka lat zdarza się spędzić dzień na przeglądaniu „starych szuflad”, przyglądam się tam czemuś trochę innemu, zadaję inne pytania, czegoś więcej chcę się dowiedzieć o ludziach ze zdjęć. Interesuje mnie trochę mniej to – co już wiem – że jeden miał herb, a drugi sklep, zaś trzeci, najbogatszy, był chłopem; że budowali swe domy, tracili majątki, uczestniczyli w konspiracjach albo byli pocziwymi zjadaczami chleba itd. Interesuje mnie to, czy to wszystko, co otrzymywali ze swych domów i z ojczyzny, niosło ich ku życiu szlachetnemu lub przynajmniej przeszkodziło w prowadzeniu życia zbyt miękkiego. Owszem, jako chrześcijanina interesuje mnie bardzo to, czy tamci chrześcijanie z mojego Domu szli drogą do szczęśliwej wieczności.

Dobre tradycje nigdy nie przestają być potrzebne – sprawdzają się zwłaszcza, gdy trzeba się komunikować z innymi we wspólnym dobru.

Ale oczywiście trwa także proces subtelnego oczyszczania tradycji z jej zrogowaceń i skleroz, czyli z elementów wtórnych i ściśle związanych z jakimś już nieistniejącym problemem. Niewątpliwie pewne elementy tradycji obumierają – natomiast tradycje trwają, zachowują ciągłość. To delikatna sprawa, i przypomina ostrożną pracę rolnika w puszczy – a nie planowanie ogrodów wersalskich.

Czy mogą istnieć tradycje złe, czyli takie, których należy się pozbywać, zamiast je podtrzymywać? Tak, nie każda partykularna tradycja jest święta i szlachetna. Z historii znamy przypadki utrwalonych obyczajów, które należało wykorzenić (wspomnijmy tylko: wieloleństwo naszych przodków w czasach Mieszka I, zemsta rodowa, składanie ofiar z ludzi przez Azteków, oparcie porządku społecznego na niewolnictwie...). Dlatego np. w *Nowym Testamencie* czytamy, jak święty Paweł ostrzega przed siłą złych tradycji – ale przecież równocześnie i on, i inni Apostołowie dają też pewną tradycję, utrwalony przekaz o Jezusie i zbawieniu. Istnieją więc dobre i złe tradycje – ale nie istnieje życie ludzkie bez tradycji.

Prawdą jest, że młodzież kontestuje dziedzictwo przekazywanych jej wartości. Kontestuje, to niekoniecznie znaczy, że niszczy je czy z góry odrzuca, lecz raczej poddaje je próbie we własnym życiu i przez tego rodzaju egzystencjalną weryfikację ożywia te wartości, nadaje im aktualność i charakter personalny, rozróżniając to, co w tradycji jest wartościowe, od fałszu i błędów oraz przestarzałych form, które można zastąpić innymi, lepiej dostosowanymi do czasów.

Jan Paweł II



MAŁGORZATA NAWROCKA

KSIĄŻĘ, KSIĘŻNICZKA I WIERNI PODDANI?

Był sobie książę... Żyła sobie raz księżniczka... Tak zaczyna się wiele pięknych baśni obliczonych na zgrabną fabułę i słodki *happy end*. Znamy je z dzieciństwa, kochamy bez zastrzeżeń i wzruszamy się w oczekiwaniu na finałowe zdanie: „żyli odtąd długo i szczęśliwie”.

Czy życie codzienne to bajka? Z punktu widzenia wychowawczego, niekoniecznie. Wie o tym każdy, kto ciut za późno zorientował się, że jego córka najchętniej występuje w roli księżniczki, a syn wymaga, by traktowano go jak księcia. Bo w tym scenariuszu ustawień pokoleniowych dla innych domowników pozostaje już tylko mniej atrakcyjna rola, rola zbiorowa – wiernych poddanych. W dodatku często zalęknionych, czy nie dosięgnie ich królewski gniew.

Na szczęście wystarczy uświadomić sobie kilka zasad, aby nie doprowadzać do sytuacji, kiedy to dziecko króluje w rodzinie, a rodzice, dziadkowie i dopasowane do ustalonego schematu ciotki uganiają się jak służący, wyczekując kolejnych poleceń lub spełniając zachcianki. Jeśli boimy się objawów niezadowolenia i dąsów własnych dzieci, za każdym razem, kiedy próbujemy egzekwować jakieś oczywiste zasady dobrego zachowania, jest to znak, że czegoś w naszym wychowaniu zabrakło. Czego? Wyjaśnijmy to sobie, bo przecież nie możemy sprawy tak zostawić. Skonstruujmy plan naprawczy.

Po pierwsze: to najpierw rodzic musi mieć przemyślaną i zdefiniowaną świadomość wagi słowa „autorytet” w wychowaniu. Jeśli jako dorośli hołdujemy zasadzie, że nikt dla nas nie jest autorytetem, że nie ma takich osób, od których moglibyśmy się czegoś nauczyć, jeśli nikt nie zasługuje na nasz podziw, na uwagę, jeśli nikomu nie przyznamy nigdy racji, bo sami wszystko wiemy najlepiej – będzie trudno. Będzie trudno stać się autorytetem dla własnego dziecka, zwłaszcza wtedy, kiedy wyrośnie z wczesnodziecięcego, naturalnego uwielbienia dla mamy i taty. Nie uznając żadnych zewnętrznych autorytetów (również moralnych czy religijnych), będziemy automatycznie niewiarygodni, próbując postawić się w takiej roli wobec na-



szego dziecka. Wtedy każde, nawet bardzo rozsądne, polecenie może być zlekceważone, bo autorytet zdania dziecka stanie ponad naszym. A jeśli już trzymamy się bajkowej metafory synka-księcia czy córki-księżniczki, oznacza to ni mniej, ni więcej, że król, który liczy się ze zdaniem mądrych doradców, jest władcą sprawiedliwym i roztropnym, a król sam przemądrzały i zawsze niezależny to zwykły tyran.

Zatem – zweryfikujmy swoją postawę, znajdziemy jednak kogoś choć gram mądrzejszego od nas w jakiejś dziedzinie i pokażmy dziecku, że ten ktoś jest dla nas autorytetem. Autorytetem, a nie idolem oczywiście, ale to już inna kwestia, na inny artykuł.

Po drugie: do słowa „autorytet” dodajmy słowo „szacunek”. I tu znów, niestety, najpierw praca domowa do odrobienia dla nas, rodziców. Czy jest w naszym otoczeniu ktoś, kogo darzymy szczerym szacunkiem? Czy dziecko to widzi? Czy bywa świadkiem sytuacji, kiedy słuchamy bez przerywania, pomagamy, zatrzymujemy się nad czyimiś sprawami czy problemami? Czy nawet zwykłą postawą ciała, gestem, uprzejmym głosem albo uśmiechem jesteśmy w stanie oddać komuś szacunek, może nawet pierwszeństwo? Zwłaszcza kiedy dotyczy to naszych rodziców – dziadków dziecka? Zagmatwane relacje rodzinne mogą czasem uniemożliwiać idealne zachowanie w tym względzie, ale w takim razie przynajmniej spróbujmy powstrzymać się od lekceważących czy ironicznych komentarzy na temat członków rodziny, zwłaszcza dziadków, kiedy są obok dzieci. Jeśli nie stać nas na powściągliwość w okazywaniu braku szacunku krewnym, musimy liczyć się z tym, że konsekwencją takiej postawy może być lekceważenie, które okażą nam wkrótce nasze dzieci.

Po trzecie: cierpliwość. Słowo klucz do życiowego sukcesu. Cierpliwość kropli drążącej skałę. Dobrze wiemy, że większość konfliktów z dzieckiem-królem w domu wywołwana jest właśnie na tym tle. Bo nasz „król” chce już, natychmiast i gniewa się, kiedy zwlekamy ze spełnieniem zamówienia. Nierzadko na scenę wkraczają wtedy krzyki, łzy, napady teatralnej histerii czy inne demonstracje, a biedny rodzic naprawdę nie wie, gdzie oczy podziać, zwłaszcza kiedy taka scena wymuszenia „na już” rozegra się przy zdziwionych znajomych albo w miejscu publicznym. Codzienne lekcje cierpliwości przy zabawie, rysowaniu, układankach, grach planszowych, nauce czy drobnych pracach domowych są nie do przecenienia. Bo cierpliwość uczy pokory wobec rzeczywistości. I wtedy małemu „królowi” korona sympatycznie zsuwa się z czoła.

Oczywiście znacznie łatwiej o taką dobrą lekcję w domu, gdzie dorośli dają przykład cierpliwości, starając się nie wymuszać zainteresowania innych krzykiem czy nerwowymi wybuchami.

Po czwarte: codzienny *savoir-vivre*, czyli przestrzeganie zwykłych zasad dobrego wychowania i dobrego smaku. W częstym użyciu powinny być u domowników zwroty: dzień dobry, proszę, przepraszam, dziękuję, miłego dnia itp. Jesteśmy narodem w sercu Europy, cywilizowanym, od ponad tysiąca lat włączonym w krąg kultury zachodniej, więc nie ma powodu, żebyśmy używali w domu wulgaryzmów, wydzierali się na siebie, obrażali czy walczyli o miejsce w domowym stadzie jak jaskiniowcy. Dziecko wychowywane w rodzinie, gdzie wobec wszystkich osób przestrzega się codziennie elementarnych zasad kultury, jest znacznie mniej skłonne do walki o pozycję króla, bo ma pewność, że i tak dostanie wystarczającą dawkę szacunku i względów oraz że jego potrzeby będą dostrzeżone, a ostatecznie zaspokojone.



RENATA NOWAK

WRÓĆMY DO STOŁU

Stół jest symbolem domu i domowego ogniska. To coś więcej niż tylko mebel. To przy nim wspólnie spożywamy posiłki, gromadzimy się przy okazji rodzinnych uroczystości. W wielu domach jest centralnym punktem. Jest wiele zalet płynących z zasiadania do stołu i wspólnego spożywania posiłków, jednak pomimo tego coraz powszechniejszym widokiem staje się jedzenie w biegu, w towarzystwie telewizora lub smartfona, często w odosobnieniu. Warto uświadomić sobie, jakie korzyści płyną z gromadzenia się przy stole i wspólnego jedzenia, dlaczego jest to tak ważne, szczególnie dla najmłodszych członków rodziny.

Zabieganie i życie w pośpiechu, funkcjonowanie poszczególnych osób w rodzinie, w tym dorastających nastolatków, może wiązać się z trudem wygospodarowania wspólnego czasu spędzanego razem przy stole. Szczególnie dzisiaj, kiedy spożywanie *fast foodów* i posiłków poza domem staje się coraz powszechniejsze i dla wielu rodzin wygodne, warto o spotkania przy stole szczególnie zadbać. Ks. Sławomir Bednarski w rozprawce *Stół – mebel łączący pokolenia* pisze: „Dzisiejsze żywienie wygląda trochę jak kupowanie w hipermarkecie. Ma być dużo, szybko, tanio i najczęściej tandetnie. Spożywanie posiłków przestało być celebracją, a stało się wyłącznie jedzeniem. Nie uczy się młodego pokolenia, jak ułożyć sztućce, szkło, talerze. Gdzie powinien usiąść gość, a gdzie gospodarz. Jak należy podać ciasto, a jak owoce. W tym właśnie było piękno każdego stołu, a każdy ważniejszy posiłek miał swój niezastąpiony koloryt. Był to również czas, aby rozmawiać o sprawach istotnych dla rodziny, sąsiedztwa, Kościoła i świata. I była odpowiednia atmosfera”.

Stół daje szansę spotkania i budowania więzi. Jeśli wspólne zasiadanie do stołu jest sytuacją codzienną i normalną dla danej rodziny, to łatwiej stworzyć przestrzeń do swobodnej rozmowy o tym, czego doświadczamy, o radościach, emocjach, problemach i rzeczach trudnych. Daje to poczucie przynależności i bezpieczeństwa, które są podstawowymi potrzebami każdego człowieka. Rozmowy pomagają budować zaufanie, które jest niezbędne, by dzielić się ważnymi sprawami. Przygotowanie posiłku oraz wspólnego stołu jest także doskonałą szkołą pozytywnych postaw i zachowań oraz kształtowania sprawności moralnych.

Pierwszym krokiem do budowania więzi przy stole jest ustalenie najlepszego czasu na wspólne spotkanie. Jest to zadanie rodziców. Należy wziąć pod uwagę czas pracy, godziny powrotów dzieci ze szkoły czy dodatkowych zajęć. Ważne jest, by we wspólnym posiłku mogli uczestniczyć wszyscy członkowie rodziny. Trudno jest zaplanować, aby były to trzy posiłki w ciągu dnia, zadbajmy jednak o to, by był to chociaż jeden z nich, w czasie najbardziej optymalnym dla wszystkich. Jeśli nigdy nie jemy razem lub zdarza się to przypadkowo, warto zacząć od wspólnego jedzenia w święta i niedziele, następnie wyznaczyć na wspólne spotkanie jeden lub dwa dni w tygodniu. W każdej, nawet najbardziej zabieganej rodzinie, wydaje się to realne. Będzie nam łatwiej, jeśli zadbamy o wspólne spożywanie posiłków od samego początku. Warto wprowadzić w domu zasadę i jej się trzymać, że nie jemy w domu poza miejscem do tego przeznaczonym. Wtedy naturalnie członkowie rodziny będą się gromadzili w miejscu, które w domu stanowi jadalnię. Warto także wyznaczyć przy stole miejsca dla poszczególnych osób w rodzinie, w ten sposób unikniemy związanych z tym nieporozumień i kłótni, szczególnie w przypadku dzieci. Wyznaczone miejsca mogą ulec zmianie przy akceptacji członków rodziny lub na przykład w sytuacji wizyty gości.

Wspólne spożywanie posiłków oparte na ustalonych zasadach, konieczność przygotowania jedzenia oraz posprzątania po zakończonym spotkaniu, stają się bazą dla dobrego wychowania nie tylko w sferze dobrych manier i *savoir-vivre'u* związanego z zasadami nakrywania stołu, korzystania z naczyń i sztućców, zachowania podczas jedzenia, ale też kształtowania charakteru i budowania relacji międzyludzkich. Stół jest okazją do uwrażliwiania na drugiego człowieka. Zaczyna się od zwykłej uprzejmości, powiedzenia „dzień dobry” na przywitaniu, podania chleba, masła czy herbaty, przyniesienia brakującego talerzyka. Kształtuje się w ten sposób także duch służby. Kolejność częstowania, zwracanie uwagi na potrzeby innych, czekanie na rozpoczęcie posiłku, aż wszyscy sobie nałożą, szczególnie gdy potrawa jest bardzo lubiana, są okazją do budowania cierpliwości. Przy stole jest też okazja do wdzięczności (np. w modlitwie przed jedzeniem czy przez podziękowanie rodzicom lub innym członkom rodziny za przygotowanie posiłku).





Inne cechy, które możemy kształtować, to męstwo oraz wstrzemięźliwość. Ta ostatnia, połączona z wielkodusznością i hojnością, może wyrażać się na przykład w umiejętności odmówienia sobie ostatniej porcji czegoś, co bardzo smakuje, i odstąpienia jej rodzeństwu. Męstwo można kształtować w dziecku już od najmłodszych lat, zachęcając do niekapryszenia przy jedzeniu tego, co zostało podane do stołu, a niekoniecznie dziecku smakuje. Dzieci nauczone jeść wszystko, co im podajemy, nie będą miały także problemów, goszcząc w domach innych osób. Inne cechy, które możemy kształtować dzięki wspólnocie stołu to porządek i dokładność, zaczynając od przygotowania posiłków, troska o estetykę ich podania, sprzątanie na poszczególnych etapach pracy, aż po niepozostawianie brudnych naczyń czy zabezpieczanie pozostałych resztek, tak by się nie zmarnowały. W ten sposób uczymy także gospodarności i szacunku do żywności.

Szczególne znaczenie dla rodziny mają posiłki świąteczne i zapraszanie gości. Ubogaca to wszystkich członków rodziny. Kiedy zapraszamy krewnych czy znajomych do wspólnego stołu, uczestniczące w przyjęciu dzieci uczą się przebywania z innymi, obserwowania kulturalnych dyskusji, słuchania rozmów na najróżniejsze tematy i włączania się w nie. Sama możliwość rozmowy na różne tematy wzbogaca wiedzę, słownictwo, wzmacnia poczucie własnej wartości i – jak pokazują badania – pozwala dzieciom osiągać lepsze wyniki w nauce. Takie spotkania są okazją do dobrego, radosnego przeżywania czasu, mają pogłębiać nasze więzi, pocieszać, wzmacniać i dawać odpoczynek, pomimo tego, że ich przygotowanie może wiązać się z wysiłkiem. Warto zadbać o taki stół, przy którym nasi goście będą mogli odetchnąć i nabrać sił.

O dobrą atmosferę przy stole powinniśmy dbać nie tylko od święta, ale przede wszystkim na co dzień. Nie zawsze jesteśmy w dobrym humorze, ale warto zasiadać do stołu z dobrym nastawieniem, starać się nie przerzucać na rodzinę doświadczanych w ciągu dnia napięć. Jeśli takie się pojawiają, warto o tym rozmawiać. Dobrą praktyką może być krótkie podzielenie się radościami i trudnościami, które każdy członek rodziny przeżył w ciągu dnia. Są rodziny, w których jest to praktykowane, rozmowa w takich sytuacjach jest doskonałym lekiem i pozwala budować głębsze relacje. Zatem zasiadamy do stołu, nie tylko po to, by wspólnie jeść.



BEATA KOZYRA

SPOD TABLICY

Kto z nas nie pamięta kontaktów z babcią czy dziadkiem, ich obecności i serdeczności, celebrowania codzienności w rodzinnym gronie?

Dzisiaj świat pędzi. Teraźniejszość przyspiesza, szczególnie w wielkim mieście. Rodzice, jak w wierszu Danuty Wawiłow *Szybko*, strofują swoje pociechy, by zdążyć na czas do pracy, szkoły czy przedszkola. Dorośli wyznaczają sobie wciąż nowe zadania i wyzwania, co sprawia, że czas wśród najbliższych jeszcze bardziej się skraca. Życie rodzinne toczy się w dużym tempie i ginie w nim niepostrzeżenie to, co najważniejsze: uwaga i czas. W szkole również obserwuję pośpiech. W naszych uczniach jest coraz mniej przestrzeni na pielęgnowanie pogłębionej relacji z rówieśnikami czy innymi osobami z rodziny. My, dorośli, chcemy, by nasze dzieci zdobywały coraz to nowe umiejętności i osiągały sukcesy. Z założenia nie ma czasu na zabawę czy zwyczajną nudę i nicnierobienie...

I tu pojawia się przestrzeń dla dziadków, którzy odbierają wnuków ze szkoły. Ich obecność w tej rzeczywistości jest bezcenna. To babcie i nierzadko dziadkowie cierpliwie czekają, aż dziecko wyjdzie ze szkoły, skończy zabawę na boisku z rówieśnikami. Nie spieszą się. Pomagają w najprostszych czynnościach, takich jak zawiązywanie sznurowadeł, przypominają o zapomnianym zeszytce czy podręczniku koniecznym do odrobienia pracy domowej. Dają naszym podopiecznym uwagę i troskę, obdarowując ich bezgraniczną miłością, opiekując się nimi, ucząc i wychowując.

Wzór współczesnej rodziny i rola dziadków zmieniły się. Nie mieszkamy w domach wielopokoleniowych z rodzicami, czyli dziadkami naszych dzieci, albo dzieje się tak bardzo rzadko. Współczesne babcie i dziadkowie jeszcze pracują lub mieszkają daleko. Często nie mogą poświęcić wnuczkom i wnukom tyle czasu, ile by chcieli. Bywa, że nie pozwala im na to zdrowie. Dlatego doceniajmy ich obecność, gdy są w szkole i w domu. To przecież oni łączą starsze pokolenie z młodszym. I dlatego te wspólne chwile z wnukami, zanim dotrą do domu zapracowani rodzice, są bezcenne dla wszystkich stron: dziadków, rodziców i dzieci.

Rodzice starają się przekazać wartości, które są dla nich ważne, którymi kierują się w życiu. Babcia i dziadek mają jednak czas i wiek. Doświadczenie i uwaga to elementy, które nie są bez znaczenia. Wspólnie spędzony czas umożliwia przekazywanie tego, co ważne: swoich pasji, historii rodzinnych, tradycji czy życia duchowego (religijnego). W każdym domu jest inaczej, ale z pewnością ciekawie.

Byłoby wspaniale, gdyby babcie i dziadków zauważyli nauczyciele, a szczególnie wychowawca. To dziadkowie, często jako pierwsi, przekazują w domu szkolne wiadomości. Nauczyciele zawsze mogą na nich liczyć. Warto zauważać, podkreślać i wzmacniać rolę babć i dziadków w placówkach edukacyjnych. Wystarczy życzliwość, serdeczność, okazany szacunek, atencja i uśmiech ze strony nauczycieli. Mądra nauczycielka, mądry nauczyciel będą o tym pamiętać. Nie ignorujmy obecności babć i dziadków. Działajmy wspólnie na rzecz dzieci.

Zdarza się, że dziadkowie przejmują zadania rodzicielskie, gdy tata lub mama wyjeżdżają w delegację czy emigrują za pracą na krótszy lub dłuższy czas. Zajmują się wnukami wtedy, gdy zabraknie ich dzieci, czyli rodziców, z różnych przyczyn (śmierć, porzucenie rodziny, uzależnienia, choroby).

Rodzice, gdy zostawiają swoje dzieci pod ich opieką, nie muszą się o nic martwić. Babcia z dziadkiem tak jak nikt pocieszą, otarą łzy, gdy pojawią się kłopoty. Są prawdziwymi, niezawodnymi przyjaciółmi. Zawsze zachwycą się rysunkiem czy udaną klasówką. Potrafią kochać bezwarunkowo i do końca wierzą we wnuczki i wnuków. Budują w dzieciach poczucie bezpieczeństwa i przekonanie, że wszystko się z nimi uda. Zaczarowują rzeczywistość. Przy nich moi uczniowie czują się doceniani i kochani. Razem z rodzicami powodują, że świat dzieciństwa staje się lepszy. To oczywiste, że nigdy nie zastąpią rodziców. Pełnią w życiu naszych uczniów inną rolę. I niech tak zostanie: niech te najbliższe dla naszych dzieci osoby się uzupełniają i dają im to, co najważniejsze: miłość, uwagę i czas.

Dziadkowie mogą wprowadzać wnuczki i wnuków w historię rodzinne. To oni przekazują wiedzę z pokolenia na pokolenie, opowiadają o swoich przodkach, zdarzeniach ze swojego dzieciństwa, kultywują tradycje. Takie opowieści są spoiwem łączącym pokolenia; dzięki nim dzieci poznają wszystkich członków rodziny, co nierzadko kończy się rysowaniem drzewa genealogicznego. Nauczyciele historii mogą te opowieści rodzinne znakomicie wykorzystać podczas lekcji. Mogą zaprosić starsze pokolenie na lekcje historii, uroczystości szkolne, wieczerze czy śpiewanie pieśni patriotycznych. Można poprosić babcie i dziadków o opowiadanie swojego życia, o rozmowę na temat swojego udziału w wydarzeniach historycznych czy o pokazanie pamiątek rodzinnych. Takie spotkania mogą być bardzo inspirujące dla naszych uczniów. Dzięki nim ich wnuczki i wnukowie poznają małe ojczyzny: dowiadują się wiele o społeczności i ludziach związanych z okolicą, w której mieszkali poprzednie pokolenia.

Babcie i dziadkowie to najlepsi towarzysze zabaw. Razem z wnukami udają się na spacer do lasu czy parku. Dzięki nim nasi uczniowie poznają przyrodę, są uwalniany na piękno natury. Z opowieści moich uczniów wiem, jakie to jest dla nich ważne. Z wypiekami na twarzy opowiadają o wspólnym grzybobraniu, wędkowaniu, obserwowaniu zwierząt czy budowaniu szałasów w lesie. Starsze pokolenie celebrowe wspólne czytanie książek, opowiadanie bajek, oglądanie filmów czy tworzenie z klocków budowli na środku gościnnego pokoju. Dziadkowie pomimo zanego wieku znoszą te rodzinne harce z ciepłością i radością.

Dziadkowie często zarażają swoimi pasjami. Uczestniczą z dziećmi w nauce pływania, pierwszych próbach jeżdżenia na rowerze, nartach czy rolkach. Dziadek uczy wnuki grać w szachy, majsterkować, gra z nimi w gry planszowe. Zdarza się, że razem kopią piłkę czy oglądają mecze. A babcia to czas wspólnego gotowania, wykonywania przetworów na zimę, nauka szydełkowania, robienia na drutach, szycia ubrań dla lalek, przesadzania kwiatów. Można wyliczać bez końca.



ALEKSANDRA GIL

JAK BABCIA I DZIADEK MOGĄ ODERWAĆ OD SMARTFONA?

W dobie zaawansowanej technologii wiele dzieci spędza około połowę czasu wizyty u dziadków, oglądając filmy lub bawiąc się aplikacjami, a przecież to właśnie dziadkowie mogą zafascynować najmłodsze pokolenie pasjami, które ukształtują zdrowe postawy u młodych i wesprą ich rozwój.

U dziadków można więcej

Dziadkowie kojarzą się z pozwalaniem wnukom na robienie rzeczy, na które ich rodzice nigdy by nie pozwolili. Cukierek. Przedłużona pora snu. Za dużo telewizji. Beztroska zabawa. Rozpieszczanie. Pomimo tego, że seniorzy nadal są wierni tradycyjnym formom wychowania, to coraz częściej pozwalają wnukom spędzać około połowy czasu przy smartfonie, tablecie, komputerze lub telewizorze.

Badania przeprowadzone w 2019 r. na Uniwersytecie w Rutgers w USA, w których uczestniczyli dziadkowie dzieci w wieku 2–7 lat, opiekujący się wnukami przynajmniej raz w tygodniu, pokazały, że podczas średnio czterogodzinnej wizyty dzieci spędzały dwie godziny na oglądaniu filmów lub graniu w gry na urządzeniach elektronicznych.

Badani nie czują się pewnie, kontrolując dzieci grające w gry z użyciem mediów interaktywnych. Filmy wydają im się już mniejszym zagrożeniem. Może to być spowodowane brakiem doświadczenia i znajomości mechanizmów związanych zarówno z grami, aplikacjami, jak i filmami oglądanymi jeden za drugim. I dzieje się tak pomimo tego, że niektórzy rodzice przekazują dziadkom zasady dotyczące korzystania z mediów przez dzieci. To jednak, jak na ironię, prowadzi do wydłużenia czasu ekranowego.

Warto wiedzieć: czas z ekranem to czas nie z nami, a z technologiami

Dziadkowie zapewniają więcej czasu przed ekranem, gdy opiekują się dziećmi częściej u siebie niż w domu u wnuka. Na długość czasu ekranowego ma wpływ również to, czy dziecko przyniesie ze sobą smartfon lub tablet. Wspomniane wyżej badanie wykazało, że najmniej czasu poświęconego na korzystanie z mediów na wizytę u dziadków odnotowano wśród dzieci w wieku od 2 do 3 lat: średnio 98 minut podczas wizyt. Dzieci w wieku od 4 do 5 lat spędzały średnio 106 minut z urządzeniami elektronicznymi, a dzieci w wieku od 6 do 7 lat – średnio 143 minuty podczas jednej wizyty. Zaobserwowano również, że nastolatki trudniej niż młodsze dzieci kontrolować, jeśli chodzi o czas ekranowy.



Co ciekawe, a jednak analogiczne do ról, które dziadkowie podejmują tradycyjnie (tzn. babcie – relacje, dziadkowie – działanie, np. majsterkowanie), to właśnie panowie – dziadkowie, biorący udział w badaniu, pozwalają na więcej czasu z ekranami niż babcie, być może dlatego, że czują się bardziej komfortowo z technologią i są zdania, że młodzi muszą nadążać za współczesnymi trendami.

Co robić, by kochać i wspierać, a jednocześnie nie zakazywać

Skoro już wiemy, że uległość jest naturą dziadków przy jednoczesnej potrzebie wspierania rozwoju wnuków, to co można zrobić? Pamiętajmy, że dziadkowie odgrywają bardzo ważną rolę w wychowywaniu wnuków. Warto zdobywać wiedzę na temat wpływu internetu i mediów, właściwego z nich korzystania nie tylko przez dzieci, ale i dorosłych, zdając sobie sprawę z mechanizmów, które mają nas przywiązać do technologii.

Na początek ograniczmy korzystanie z technologii poprzez ustalenie prostych zasad dotyczących czasu spędzanego przed ekranem podczas opieki nad dziećmi. Jest to szczególnie potrzebne, gdy dzieci przynoszą urządzenie z domu i oczekują, że bez kontroli rodziców będą oglądać jeszcze więcej niż zazwyczaj.



Już jasna zasada **3 x nie**: nie więcej niż... np. godzina, nie przed snem, nie podczas posiłków, prowadzi do ograniczenia czasu spędzanego przez wnuki przed ekranem, nawet te nastoletnie. A rodzice powinni zadbać o dostarczenie zabawek, gier i książek, aby pomóc dziadkom zająć się dziećmi.

Im jesteśmy starsi, tym w nas zazwyczaj więcej akceptacji i spokoju

Z takim podejściem łatwiej jest dziadkom dawać dziecku bezwarunkową miłość i dużo cierpliwości. Nawet gdy byliśmy wymagającymi rodzicami, jako dziadkowie na wie-

le zachowań wnucząt patrzymy wyrozumiale. Dziecko przy dziadkach czuje się kimś ważnym i kochanym – dokładnie takie, jakie jest, a seniorzy są ważnymi autorytetami, na co wskazują badania Instytutu Profilaktyki Zintegrowanej z 2015 roku. Poza rodzicami również dziadkowie jako przewodnicy mają ogromny wpływ na zdrowy styl życia dzieci i młodzieży. Warto to wykorzystać, dziadkowie stanowią doskonałe źródło inspiracji do zdrowego i pełnego przygód rozwoju. Wspólny, ważny czas – to ten z wnukami.

Zielona przygoda

Zabierz dzieci do pobliskiego parku czy lasu, aby podziwiać widoki i dźwięki natury! Zbierzcie po drodze kilka skarbów, takich jak kwiaty i liście, stwórzcie z nich kompozycję do wazonu, ramki lub dziennika czy pamiętnika waszych wspólnych chwil. Spraw, aby spacer na łonie natury był nie tylko doświadczeniem edukacyjnym, ale i wspomnieniem, które pozostanie z wnukami na długie lata.



Łamigłówki i gry

Szach mat! Ciesz się przyjazną rywalizacją z najmłodszymi członkami rodziny. Wiele gier planszowych, w które graliśmy ze swoimi dziećmi, nadal cieszy się popularnością w pokoleniu wnuków. Łamigłówki i gry karciane nadal są w modzie, a do tego uczą logicznego myślenia i planowania, podobnie jak puzzle – od najprostszych po te wieloelementowe lub (dla kreatywnych) stworzone samemu.

Prace ogrodowe

Przekaż wnukowi swoją pasję do ogrodowych zajęć. Szczególnie warto zaangażować nastolatki w projektowanie i realizację np. warzywniaka, a później wspólne uprawianie największej dyni, zawody w zrywaniu i zjadaniu truskawek czy borówek. A, i ważne: większość maluchów czerpie przyjemność z używania konewki! Dla najmłodszych można przygotować zestaw „małego ogrodnika” i możemy nie wychodzić z ogrodu.

Czytanie to wyprawa w wyobraźnię

To dom dziadków często jest przykładem, że półki regałów wypełniają książki, a po fascynującej lekturze, taką na wspólne czytanie, można wybrać się do pobliskiej biblioteki. Z młodzieżą warto umówić się np. na przeczytanie interesującej ich pozycji, a później wymianę doświadczeń czytelniczych. Nie tylko poznamy bliżej świat wnucząt, ale i sami nauczymy się tego, co nowe.

Czas na plac zabaw

Wyjście na plac zabaw z energicznym dzieckiem to świetny sposób na ćwiczenia dla was obojga! To nie tylko huśtawki, ale coraz popularniejsze siłownie na świeżym powietrzu



dla mniejszych, większych, mniej i bardziej sprawnych. Ruch na świeżym powietrzu daje zdrowie duszy i ciała.

Wspólne posiłki

Ważne jest nie tylko wspólne gotowanie, przekazywanie rodzinnych kulinarnych tajemnic i przepisów na najlepsze placki na świecie. To może być wyprawa do lodziarni lub restauracyjki czy baru mlecznego. Wiele słodkich wspomnień powstaje nad miską lodów lub kawałkiem schabowego!

Obserwacja zwierząt

Kaczka. Kurka. Gęś! Zabierz swojego wnuka do parku, aby poobserwować ptaki lub wieśiórki. Jeżeli uda się wyprawa do lasu, można tropić ślady zwierząt, a czasem spotkać mieszkańców dzikiej ostoji. Przyda się lornetka lub aparat fotograficzny. W czasie takich wypraw możemy przekazać młodym ideę dbania o naturę i ochrony przyrody.



Dzień Filmu

Deszczowe dni wzywają do wycieczki do kina. Bonus — bilety są zazwyczaj zniżkowe dla dzieci i osób starszych! Można również urządzić wieczór filmowca z nastolatkami w domu, zachęcić do obejrzenia klasyków kina, a samemu przekonać się do tego, że dzisiejsze technologie przenoszą w świat np. trójwymiarowy.

Hobby bywa zaraźliwe

Niezależnie od tego, czy interesujesz się łowieniem ryb, robieniem na drutach czy czymkolwiek innym, można i warto przekazać pasję wnukom. Rozwijanie nowego hobby to jeden z najbardziej znaczących sposobów spędzania czasu i tworzenia wspólnych wspomnień, które budują bliskie relacje, wzmacniają więź i kształtują młodego już na samodzielnej, dorosłej drodze.



Więcej pomysłów i sposobów na czas bez ekranu: <https://rodzice.co/category/dobre-praktyki/>



MAŁGORZATA GASIŃSKA

CO WYNIĘŚLIŚMY ZE ZDALNEGO NAUCZANIA?

„I ja wiem, że popełniam dużo błędów,
ale wtedy, na pociechę, myślę od razu
o tych błędach, których nie popełniłam,
a mogłam”... jako rodzic, dziadek,
nauczyciel w czasie pandemii.

W dobie rozliczeń po półtorarocznym lockdownie proponuję spojrzeć na ten czas z lekkim przy-
mrużeniem oka. Jako niepoprawna optymistka (niemal jak zacytowana Ania z Zielonego Wzgó-
rza) polecam subiektywny przegląd pandemicznych plusów. Niektóre z nich można z powodze-
niem zaadaptować w każdym czasie i okolicznościach.

Śpiące królewny i królewicze w swoim żywiole

Budzik, pobudka, heroiczna bitwa z domownikami o łazienkę, szybkie śniadanie, poszukiwanie
skarpetek do pary, wyjazd z domu, korek... szkoła. Kolejne spóźnienie... Brzmi znajomo? Zapew-
ne dla wielu rodzin tak! W czasie edukacji zdalnej nastąpiła totalna zmiana. Pobudka o 7.55?
Bardzo proszę! Matematyka w piżamie – czemu nie? Najlepsze na świecie, babcine naleśniki
pałaszowane w towarzystwie pani od przyrody? Oj tak... I obowiązkowe „kakałko” z panią od hi-
storii. Coś, co dotąd jawiło się jako niemożliwe, stało się rzeczywistością. Szczególnie spragnio-
ne snu nastolatki w końcu mogły się wyspać – korzyść nieoceniona. Jesienne deszcze i zimowe
przymrozki nie robiły w tym czasie na nikim wrażenia (o tym, ile rękawiczek i czapek nie zostało
lekceważąco pozostawionych w szatni czy bibliotece, nawet nie wspominam, zapewne ktoś kie-

dyś poda szacunkowe dane). Zdaję sobie sprawę, że może to nie było szczególnie pedagogiczne, ale szczerze przyznam, że ja również odbyłam niejedno spotkanie służbowe online, będąc w szlafroku i bez makijażu (!).

Apel: Pozwólmy czasem naszym dzieciom na kontrolowane wagary. Młode osoby też mogą być przeciążone zadaniami.

Bill Gates, Mark Zuckerberg, Elon Musk, Pawełek Kowalski...

Zastanawiam się, czy skutkiem pandemii, który odczuwamy dopiero za kilka lat, nie będzie „wysyp” genialnych naukowców i wizjonerów technologicznych. W końcu nadszedł czas, kiedy Jaś, Staś albo Małgosia mogli wykazać się swoją teoretycznie mało potrzebną w czasie klasycznej nauki wiedzą. Edukacja zdalna to był wiatr w żagle dla dzieci, które internet i technologie od dawna doskonale znają i stosują codziennie. Czasem wystarczyło im intuicyjnie połączyć informacje i doświadczenie, aby MS Teams czy Zoom okazały się niezbyt skomplikowaną i przyjazną przestrzenią do komunikacji. Przyznajmy się, ile razy, niby mimochodem, zapytaliśmy syna, córkę, wnuczkę, „gdzie nacisnąć”, żeby coś zadziało? Co więcej, z ich wiedzy korzystali również nauczyciele – niejednokrotnie słyszałam zachwyt, że ten „od zawsze cichutki Pawełek” tylko czekał, żeby podpowiedzieć, jak przesłać plik czy uruchomić filmik podczas lekcji. Domyślam się, że pewność siebie i poczucie własnej wartości wzrosła w tym czasie u wielu nieśmiałych dzieci.

Apel: Dajmy więcej przestrzeni dzieciom w domu i w szkole, by częściej mogły popisać się swoimi umiejętnościami. Kto wie, czy dzięki temu, za 15–20 lat nasz Pawełek nie zostanie pierwszym kapitanem statku eksplorującego niezbadane rejony kosmosu?

Strach już nie miał wielkich oczu

„Kasiu, znów nie nauczyłaś się tego wierszyka. Ola potrafiła, Jaś potrafił. A ty? Co z tobą?” Za każdym razem, kiedy byłam świadkiem podobnej sytuacji w szkole mojego dziecka, miałam ochotę powiedzieć nauczycielowi kilka konkretnych zdań (i nie byłyby to miłe zdania). Niestety, mimo licznych szkoleń, prób uświadomienia, jak bardzo krzywdząca jest taka ocena, nadal podobne słowa padają podczas lekcji, zawstydzając „winowajcę”. Czy podczas pandemii sytuacja się zmieniła? Raczej nie. To uczniowie się zmienili i w najprostszy z możliwych sposobów – poprzez wyłączenie kamery lub całkowite rozłączenie – wychodzili z lekcji. Zamykam oczy, a stresor znika. Czy tacy nauczyciele zmienią swoje metody po powrocie do szkoły stacjonarnej? Wątpię. Jednak nasze dzieci będą już inne, dojrzałe. Liczę też, że dzięki wsparciu najbliższych, którzy zapewne nie raz tłumaczyli młodym ludziom, że ocena w szkole nie jest miarą wartości człowieka i jego sukcesów w życiu, oraz że każdy ma prawo do błędu, dziecko będzie potrafiło spokojniej reagować.

Apel: Doceniajmy nasze dzieci i ich wysiłek, a nie świadectwa z paskiem.

Edukacyjna kreatywność potrafiła urzekać

Podobno nic tak bardzo jak trudne sytuacje nie rodzi kreatywności. Po pierwszym szoku, jaki przeżyliśmy podczas wiosennego lockdownu w 2020 r., druga i trzecia fala były czasem, kiedy duża część nauczycieli i uczniów postawiła na wszechstronny rozwój i nieszablonowe podejście do nauczania i uczenia się. To, co zaoferował nam internet,



wręcz przerosło oczekiwania. Można było czerpać z tych zasobów garściami, wystarczyło chcieć. Zapewne większa odpowiedzialność za naukę spoczywała teraz na uczniach (nauczyciel nie mógł już wymusić odpowiedzi pod tablicą), ale przecież od lat postulowaliśmy samoregulację w uczeniu, by nauczyciel stał się „tylko” przewodnikiem po świecie wiedzy. Bonusem pandemii były również ułatwione kontakty z nauczycielami, np. poprzez Messengera. Wielu nieśmiałych (lub roztargnionych) uczniów wołało zapytać o coś nie na forum klasy, a właśnie poprzez komunikator.

Apel: Pozostańmy świadomie w świecie online, niezależnie od sytuacji. Wspólnie obejrzący spektakl czy nowoczesne aplikacje bardziej zmotywują do nauki niż niejedna klasówka.

Cicho wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie... po powrocie do stacjonarnej szkoły?!

Nikt nie krzyczał, nie biegał wokół, nie popychał, nie podstawiał nogi (przypadkiem przecież), nie płakał z tęsknoty za mamą. Bo mama była obok. Nie można zapominać o wielu dzieciach, również tych ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi, które podczas pandemii były szczęśliwe, mogąc w spokoju uczyć się we własnym domu. Nic nie rozpraszało ich uwagi, mogły skupić się na swoich potrzebach. Specjaliści, nauczyciele i rodzice zastanawiają się teraz, czy powrót do tradycyjnej szkoły nie będzie dla nich zbyt dużym szokiem.

Apel: Spróbujmy zainicjować wzajemną pomoc koleżeńską w nauce, która dodaje skrzydeł zarówno pomagającemu, jak i osobie wspomaganej. Jedno dziecko wzmacnia swoją samoocenę oraz kompetencje emocjonalne, interpersonalne i społeczne, drugie doświadcza wsparcia, które motywuje i daje nadzieję.

A na zakończenie coś z zupełnie innej beczki. Coś dla mam i babć, ojców i dziadków. Lekarze medycyny estetycznej z całego świata informują, że ich gabinety przeżywają teraz złote czasy. Rozmowy przez mały ekran w laptopie ułatwiły komunikację w czasie izolacji, ale niestety dzięki nim zaczęliśmy dostrzegać swoje mankamenty urody: krzywy nos, kurze łapki... Stąd kolejki w gabinetach. Nowy „trend” nazwano *zoom boom*.

Apel: Pamiętając, że samoocena polskiej młodzieży jest najgorsza w całej Europie, odpuśćmy! Nauczmy nasze dzieci, że piękno tkwi w mądrości i doświadczeniu, że nasze ciało musi być przede wszystkim zdrowe – niezależnie od tego, ile zmarszczek „wychwyci” kamera podczas ewentualnego, kolejnego lockdownu.

Zwieńczeniem niech będzie kolejna mądrość Ani: „Pamiętaj, że wszystko można zacząć od nowa. Jutro jest zawsze świeże i wolne od błędów” – a my, bogatsi o kolejne doświadczenia, będziemy potrafili je wykorzystać w stosownym czasie i we właściwy sposób.





MARTA STRUGAŁA

„POZNAJ POLSKĘ”

Wyobraźmy sobie, że uczniowie poznają przebieg Powstania Warszawskiego, odsłaniając w muzeum kolejne kartki z kalendarza. Albo dowiadują się, czym jest trzęsienie ziemi, uczestnicząc w nim poprzez techniczne symulacje w Centrum Nauki Kopernik. Nowe przedsięwzięcie Ministra Edukacji i Nauki pn. „Poznaj Polskę” daje uczniom taką możliwość. Czym jest „Poznaj Polskę”?

22 lipca 2021 roku weszła w życie zmiana [Ustawy o systemie oświaty](#). Owa zmiana umożliwia Ministrowi Edukacji i Nauki organizację programów oraz przedsięwzięć. Celem jest wsparcie nauczycieli w realizacji podstaw programowych kształcenia ogólnego w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych. Nie raz słyszeliśmy, że najlepiej uczy się przez praktykę. Dlatego pierwszym przedsięwzięciem realizowanym przez Ministra są wycieczki edukacyjne.

W programie pilotażowym wyróżniamy następujące szlaki:

- Śladami Polskiego Państwa Podziemnego;
- Śladami kardynała Stefana Wyszyńskiego;
- Kultura i dziedzictwo narodowe;
- Największe osiągnięcia polskiej nauki;
- Dziedzictwo kulturowe wsi.

Jakie są założenia przedsięwzięcia?

Podstawową wartością i celem programu jest wychowanie patriotyczne i edukacja historyczna. Dzieci i młodzież, w ramach zajęć lekcyjnych lub zajęć pozalekcyjnych, mogą zrealizować program wycieczki wg opracowanych punktów edukacyjnych, np. z zakresu historii, dziedzictwa narodowego, kulturowego czy też podążając śladami znakomitych naukowców, poznając osiągnięcia naukowe, innowacyjne rozwiązania. Dzięki programowi nauka w szkole nabiera innego

wymiaru. Uczenie się, oparte na praktycznym odkrywaniu śladów historii, czy też eksperymentowaniu w centrach nauki tworzy dzieciom i młodzieży warunki do uczenia się w unikalnym środowisku edukacyjnym.

Chcemy, aby dzieci i młodzież były świadome swojej historii i żeby były dumne z tego, że są młodymi Polakami. Niestety, w XXI wieku często spotykamy się z zakłamywaniem historii – zwłaszcza historii XX wieku. Przez odwiedzanie miejsc pamięci chcemy zwiększyć świadomość uczniów, aby znając swoją przeszłość wiedzieli, co mają robić w przyszłości.

Do kogo kierowane jest przedsięwzięcie?

Ministerstwo stworzyło trzy różne mapy, które są kierowane odpowiednio do trzech różnych grup wiekowych:

1. szkoła podstawowa, klasy I–III;
2. szkoła podstawowa, klasy IV–VIII;
3. szkoła ponadpodstawowa.

Dofinansowywane są wycieczki jednodniowe, dwudniowe oraz trzydniowe. Warunkiem wzięcia udziału w przedsięwzięciu jest wybranie odpowiedniej liczby punktów edukacyjnych. Nauczyciel ze szkoły podstawowej lub ponadpodstawowej składa wniosek do organu prowadzącego szkołę, która kieruje go do Ministerstwa.

Więcej informacji na temat przedsięwzięcia „[Poznaj Polskę](#)” – na stronie Ministerstwa Edukacji i Nauki.





HENRYK KRZYŻANOWSKI

O WYCHOWANIU ZIEMIAŃSKIM

Wychowanie ziemiańskie dostosowane było do potrzeb własnej sfery (nikt wtedy nie mówił o klasach) i przygotowywało do prowadzenia czy administrowania majątkiem ziemskim albo bycia żoną ziemianina.

Dzieci ziemian wzrastały w ustabilizowanej rodzinie patriarchalnej. W większej czy mniejszej społeczności dworu dzieci zajmowały miejsce dalekie od uprzywilejowania. We dworze oprócz rodziców mieszkali często dziadkowie, a także rezydenci, niekoniecznie nawet spokrewnieni. Wszyscy oni stali w hierarchii codzienności wyżej niż dzieci, które obowiązywał respekt i posłuszeństwo wobec dorosłych. Kontakt z rodzicami wyznaczony był rytmem dnia i ograniczał się do posiłków, w czasie których dzieci słuchały rozmów dorosłych, i nie tak częstych chwil rekreacji, gdy w salonie grano w gry, muzykowano czy czytano na głos. Oczywiście także do takich stałych części dnia, jak udanie się z matką lub z nianią do pokoju tatusia, by powiedzieć mu „dobranoc”.

We wczesnym okresie życia dziecka urodzonego we dworze bliską dlań osobą, oprócz najbliższego wiekiem brata lub siostry z liczego na ogół rodzeństwa, była niania, zajmująca się dzieckiem do czasu rozpoczęcia formalnej nauki. Niania wywodziła się często z drobnej szlachty (musiała posługiwać się językiem literackim), a coraz częściej wymagano od niej ukończenia stosownych kursów pedagogicznych. Następnie, nauką na poziomie szkoły powszechnej zajmowała się mieszkająca we dworze nauczycielka, a czasem pełniąc tę rolę matka. Nie wszystkich ziemian stać było na bony, zwłaszcza te z zagranicy, znające język francuski czy niemiecki, a tym mniej na guwernerów dla chłopców. Ci ostatni pojawiali się tylko w najbogatszych rodzinach arystokratycznych. Kiedy dziecko wchodziło w wiek gimnazjalny, wysyłane było do gimnazjum w dużym mieście, czasem bardzo odległym od dworu. Na przykład babkę mojej żony wysłano przed I Wojną z majątku w kaliskim na pensję do Dorpatu w dzisiejszej Estonii, gdzie działało jedno z nielicznych w Imperium Rosyjskim gimnazjów z językiem polskim. Kontakt osobisty z rodzicami ograniczał się wówczas do wakacji i przyjazdów na ferie świąteczne. Nie było telefonów, ale kwitła sztuka pisania listów.

Ten patriarchalny system był, jak widać, daleki od sentymentalizmu. To rozum miał kierować sercem, a nie odwrotnie. Czy prowadził do oschłości i dystansu między rodzicami a dziećmi? Zdecydowanie nie. Przeczą temu liczne ziemiańskie pamiętniki czy biografie i, dodam od siebie, także moje rodzinne doświadczenie. To, że codzienna etykieta nie pozwalała mi mówić „ty” do matki, do której musiałem się zwracać „proszę Mamusi”, w żaden sposób nie wpływało na bliskość naszych relacji uczuciowych. Tu zresztą warto podkreślić ogromną rolę, jaką w wychowaniu pełniła nauka dobrych manier. Nie były one, wbrew temu, co się czasem sądzi, krępującym jednostkę gorsetem, a wręcz przeciwnie, stwarzały wygodne narzędzie organizowania relacji z blizniami. Zauważmy, że to raczej brak wyuczonego *savoir-vivre'u* stawia młodego człowieka w sytuacji stresu – kiedy trzeba naprędce tworzyć sobie reguły zachowania w nowej sytuacji. Osobom dobrze wychowanym z łatwością przychodzi wtedy skracanie dystansu albo, gdy trzeba, zachowywanie go.



Ważną częścią ziemiańskiej egzystencji były kontakty rodzinne i sąsiedzkie. W osobisty świat dziecka od małego wchodziło nie tylko rodzeństwo, lecz także liczni kuzyni, poznawani w czasie odwiedzin, i oczywiście ich rodzice – wujowie, ciotki, stryjowie. Swobodne poruszanie się w tym *universum* wymagało dobrej znajomości genealogii – nie chodziło tu o snobizm, a o łatwość identyfikacji relacji. To wszystko służyło pielęgnowaniu odrębności własnej sfery, mocno przez ziemian kultywowanej.

Wśród cech, które wychowanie miało rozwinąć u młodych, warto podkreślić samodzielność i patriotyzm. Samodzielność z mocnym elementem dzielności, czyli nierozczulania się nad sobą w przeciwnościach, przydawała się później w zarządzaniu sporym przedsiębiorstwem, jakim był majątek ziemski. Patriotyzm z kolei był czymś naturalnym, z jednej strony przekazywanym przez narodową kulturę, a z drugiej wynikającym z posiadanej własności. Dla mężczyzn jego wyrazem była gotowość do służby wojskowej, dla kobiet dość powszechna świadomość obowiązku pracy społecznej na rzecz ludzi mniej uprzywilejowanych.

Ziemiaństwo jako osobna grupa społeczna zostało unicestwione przez kataklizm II Wojny i następujący po nim komunizm. Zresztą, w swej przedwojennej postaci nie przetrwałoby i tak postępu w gospodarce i technologii. Kultywowana przez wychowanie ziemiańska dzielność

przydała się jednak, kiedy trzeba było znosić prześladowania ze strony okupanta, a potem narzuconej przez Sowiety nowej władzy. A patriotyzm? Jego dowody dała ziemiańska młodzież, uczestnicząc licznie w konspiracji i Powstaniu Warszawskim. Dalekim jego refleksem była zapewne nadreprezentacja ziemian i ich potomków w tzw. sejmie kontraktowym, wyłonionym 4 czerwca 1989.

Dzielność i patriotyzm to cechy godne rozwijania w wychowaniu także i dziś. Myślę, że w równym stopniu dotyczy to także dbałości o dobre maniery.





Prymas Wyszyński i maturzyści z Bydgoszczy, ze zbiorów Instytutu Prymasowskiego

ANNA ZALEWSKA

PRYMAS WYSZYŃSKI

– WYCHOWAWCA NARODU

„Bez wątpienia wychowanie jest dziś znacznie trudniejsze niż kiedyś” – napisał przed laty Benedykt XVI. Niestety, wielość i różnorodność dzisiejszych propozycji wychowawczych w zasadzie nie owocuje tym, co potocznie określa się jako „dobre wychowanie”. W poszukiwaniu Klasyków wychowania kierujemy się więc ku osobom, których myśli i działania kształtowały całe pokolenia, by w ich spuściźnie szukać inspiracji na dzisiejsze czasy.

Jedną z takich osób, której działania ze względu na swą skalę można nazwać „Wychowawcą Narodu”, był Prymas Stefan Wyszyński. Spowodowane pandemią odsunięcie beatyfikacji na ponad rok dało nam czas, by lepiej poznać postać tego wybitnego męża stanu, prawdziwego przywódcy i duchowego przewodnika milionów Polaków. Jego heroiczna postawa, połączona z mądrością i niezwykłą intuicją polityczną, pozwoliła przetrwać polskiemu Kościołowi w najtrudniejszym okresie stalinizmu. Jednocześnie był to kapłan niezwykle wymagający od siebie, pokorny, okazujący szacunek każdemu napotkanemu człowiekowi i mający świetny kontakt z prostymi ludźmi. W prymasowskim nauczaniu – listach, homiliach, wystąpieniach, pedagogika zajmowała znaczące miejsce, a jego spojrzenie na wychowanie cechował głęboki realizm i wnikliwość obserwacji. Dlatego warto nieustannie sięgać po te przemyślenia, nawet jeśli dziś pewne sformułowania wydają się „staromodne”. Podziwiamy raczej wiedzę, intuicję i zaangażowanie.

Prymas doskonale zdawał sobie sprawę, w jak trudnych warunkach przyszło dojrzewać powojennym pokoleniom: „W powszechnym zamęcie nieokreślonych pragnień i dążeń wzrasta nasza działość i młodzież ciężko dotknięta wszystkimi niedolami zmiennych czasów”. Ogromna wiedza i kapitał życiowych doświadczeń dały Prymasowi mądre spojrzenie na młodych i ich problemy. Było to spojrzenie czujne, dalekie od idealizacji, której ulegają nierzadko dorośli chcący się

wkupić w łaski młodzieży – ale nieodmiennie życzliwe: „Každy, kto się odgradza od młodzieży – kimkolwiek byłby – jest samobójcą! Nie można bowiem mówić o przyszłości Kościoła, państwa czy narodu bez młodzieży. I dlatego nie wolno się od niej odgradzać. Nie można stosować tylko represji, trzeba okazać serce, miłość, zaufanie, szacunek, zrozumienie, ducha służby. (...) Świat zmienia się fantastycznie szybko. Młodzież przeżywa wielkie niepokoje, przygotowując się do innego niż nasze, nieznanego zadania. A my schodzący, kończący swoje zadania, nie mamy na to wpływu. Nas chwalebnie ułożą na cmentarzach, a w ich ręce przejdzie naród, państwo i Kościół”.

Do nauczycieli mówił o ich wyjątkowym powołaniu, o roli osobistego autorytetu, o szacunku wobec wychowanków. Podkreślał, że zanim się zacznie wychowywać – trzeba pokochać; raził go brak otwartości na drugiego człowieka: „Pomimo waszej wiedzy, autorytetu i różnicy lat pamiętajcie o tym, co jest wspólne wam – nauczycielom i waszym uczniom. Pamiętajcie, że stajecie przed waszymi wychowankami jako ludzie przed ludźmi. Jeśli będziecie mieć świadomość tej wspólnoty, wiele osiągniecie w pracy wychowawczej. Wszystkie rady i wskazania wtedy dopiero będą w pełni skuteczne, gdy za nimi stanie autorytet nauczyciela – prawdziwego, to znaczy pełnego człowieka; gdy wypowiadać je będziecie w miłości i trosce o dobro ucznia; pamiętając, że to także – człowiek. Jest to punkt wyjścia dla wszelkiej pracy pedagogicznej”.

„Powołanie wychowawcze i nauczycielskie jest jakby dodatkowym «sakramentem», który was umacnia i zmusza do tego, abyście wasze człowieczeństwo jeszcze bardziej rozwijali i pogłębiali. O was mówią i mówić będą: przecież to profesor, nauczyciel, przecież on uczy innych! Gdy inni ludzie popełnią czyn naganny, nikt się temu nie dziwi. Ale jeżeli popełni go nauczyciel lub kapłan, wtedy jest zgorszenie”. Celem wychowania ma być nie tylko integralny rozwój wychowanka, ale przygotowanie go do podjęcia w pewnym momencie wysiłku samowychowania: „Młodzież wzywajcie do męstwa chrześcijańskiego w walce z sobą, do obrony godności istot rozumnych i Bożych, do rzetelnej pracy nad sobą, do wyzwiania się z bezmyślności, bezwoli i lenistwa, z bezbarwności i nijakości. Zachęcajcie ją do czci dla ludzi, do poszanowania wspólnego dobra ojczystego, do odpowiedzialności za dobra kulturalne i społeczne, do troski o rzetelny postęp ku lepszemu bytowaniu, do pracowitości i oszczędności”.

Pomimo różnicy pokoleń – Prymas urodził się przecież w r. 1901, u progu nowego wieku – miał liczne i różnorodne kontakty z dziećmi i młodzieżą, która potrafiła słuchać go z przejęciem, nawet kiedy mówił o rzeczach trudnych: „Może pragnęlibyśmy łatwiejszych dziejów, a jednak, dzieci moje, jak często, tak i dziś was proszę, zwłaszcza młodzież: nie chcecie łatwego życia! Łatwe życie szkodzi naszemu narodowi”.

„Młodzieży! Nie zapominając o przeszłości, naucz się patrzeć ku przyszłości. Ale pamiętaj – przyszłości nikt na świecie pewny nie jest. Żadnemu narodowi nie można zagwarantować jakiegoś złotego wieku”.

W oczekiwaniu na beatyfikację Prymasa Stefana Wyszyńskiego warto sięgnąć do jego spuścizny – spuścizny o nieprzemijającej mądrości.



Komańcza – miejsce internowania Prymasa

OFIAROWANY CZAS

Wywiad przeprowadziła
Patrycja Przybysławska

O relacjach między pokoleniami w rodzinie rozmawiamy z panią Katarzyną Głowacką, mamą pięciorga dzieci, babcią dwojga. Nasza rozmówczyni jest z wykształcenia doradcą rodzinnym. W wolnym czasie pisze bloga (mamawduzymdomu.com), tłumaczy książki oraz z upodobaniem upiększa dom.



Katarzyna Głowacka, archiwum własne

Wspólny czas buduje relacje

PP: Pani Katarzyno, jest Pani od dłuższego czasu mamą, od pewnego czasu babcią i swoimi przemyśleniami dzieli się Pani na swoim blogu. Od lat jestem Pani stałą czytelniczką i sama znalazłam w Pani tekstach wiele inspiracji dla swojego dość krótkiego jeszcze macierzyństwa. Stąd też pomysł, żeby z Panią porozmawiać na temat pokoleń i bardzo różnych relacji w rodzinie. Zaczniemy od tematu budowania relacji z własnymi dziećmi. Ma tu Pani doświadczenie niemalże na wszystkich etapach – od najmniejszych do największych dzieci. Jak to się zmienia, co ma największy wpływ na jakość relacji z własnymi dziećmi?

KG: Niedawno pisałam na blogu, że jest to temat, na który bardzo ciężko jest mi się wypowiadać. Ja mam dorosłe dzieci i od pewnego czasu praktycznie co roku mogłabym na to pytanie odpowiadać inaczej. Relacje i więź w rodzinie, z dziećmi, ale też między rodzicami, między małżonkami, jest to coś, co mnie ostatnio bardzo zajmuje, bo to jest najbardziej podstawowy fundament życia rodzinnego, które zaczyna się tu i teraz, a wybiega gdzieś daleko w przyszłość, której jeszcze nie znamy. Jednakże jeśli ten fundament jest mocny, jeśli ta więź istnieje, to odniesiemy sukces i te relacje będą dobre.

Myślę też, że nie ma jakiejś złotej recepty na to, jak tę więź budować. Natomiast na pewno jest jeden taki składnik, dość oczywisty, który musi być obecny w relacji. Mianowicie jest to czas na bycie razem, oddawanie tego czasu dzieciom, zwłaszcza kiedy są małe. One wtedy naprawdę karmią się nie tylko mlekiem mamy czy innym pożywieniem, ale karmią się właśnie czasem, który im dajemy. Trzeba jednak jedną rzecz podkreślić. Mamy teraz taką plagę sfrustrowanych rodziców, którzy non stop są z dziećmi – bawią się z dziećmi, a tak naprawdę bawią się za dzieci i dzieci patrzą, jak się bawią rodzice. Nie w tym rzecz. W tym czasie poświęconym chodzi o to, by być do dyspozycji, by często być takim bohaterem drugiego planu. Być – po prostu. Tak jak się dziecko uczy chodzić i odchodzi coraz dalej, ale my gdzieś tam jesteśmy, żeby w razie czego podnosić, otrzepywać kolano i tak dalej. O to chodzi. Być i jednocześnie starać się, żeby nie być w tym męczennikiem. Żeby dziecko nie miało takiej świadomości bycia odrzucanym (a dzieci świetnie wyczuwają, kiedy nie są chętnie widziane i stają się wtedy bardziej namolne; kiedy się je odpycha i przychodzą, i się domagają obecności). Dobrze jest tak ustawić sobie życie – może jakąś pomoc, grafik obowiązków, pracy, żeby ten czas dla dzieci mieć, żeby nie być wtedy wy-

kończonym po innych obowiązkach. Często jest tak, że my się angażujemy w wiele rzeczy, które nam się wydają bardzo ważne, a dzieci dostają takie „spady” – nie mamy już ani siły, ani ochoty, a jeszcze trzeba się zająć dzieckiem. Nie dawajmy dzieciom spadów. Niech to będzie czas dobrej jakości, w tym sensie, że lubimy z nimi być, że lubimy, gdy one są dookoła nas.

Ja pamiętam, że dla mnie – zresztą pisałam o tym wielokrotnie, bo już jestem starszą panią (śmiej) – młodej mamy, takiej właśnie sfrustrowanej, to był szok. Bo kiedy rodzi się pierwsze dziecko, z całego czasu, jaki mamy, nie zostaje nic. W ogóle go nie mamy. To jest szok, oczywiście. Pamiętam, że czytałam w czasopiśmie „Dziecko” pod redakcją Justyny Dąbrowskiej (to było naprawdę cudowne czasopismo, nie ma w tej chwili niczego podobnego na rynku) ogromny wywiad z Wojciechem Eichelbergerem, który też wtedy miał nieduże dzieci. I on mówił, że w pewnym momencie swojego rodzicielstwa odkrył, że jest jeden czas. To znaczy, że nie ma podziału na czas spędzony z dziećmi i wolny – mój. Czas spędzony z dziećmi to jest też mój czas.



PP: To bardzo trafna uwaga. Teraz jest bardzo powszechne twierdzenie, że albo mamy czas dla siebie, albo czas dla dzieci i wtedy my się nie liczymy, to nie nasz czas.

KG: Tak. Takie myślenie prowadzi do jakiegoś wypalenia, przemęczenia i kompletnego braku radości życia. I to nie jest dobre dla nikogo: ani dla mnie osobiście, ani dla mojej rodziny. Mamy różne etapy w życiu, do których jesteśmy bardzo przywiązani, np. kiedy jesteśmy młodzi, piękni, sprawni i w ogóle realizujemy się gdzieś na studiach – to jest nasz ulubiony czas. Trudno jest nam to zostawić i wejść w inną rolę. My chciałabyśmy mieć rolę żony i matki, ale jednocześnie być tą „gwiazdą”, jaką byłyśmy, zanim się to wszystko zaczęło. Ważne jest, żeby umieć zostawić pewne rzeczy – z żalem, no bo to był przecież fajny czas! – natomiast ten etap, w który teraz wchodzimy, też jest piękny, i też będziemy za nim tęsknić, proszę mi wierzyć. Dobrze jest to przyjąć, że teraz zostawiam swoją pracę intelektualną, zawodową, coś, w czym się realizowałam, bo jestem potrzebna gdzie indziej, mam teraz inne zadanie. I całą swoją inteligencję, sprawność fizyczną i umysłową rzucam na to pole: budowania więzi z moimi dziećmi.

PP: Z tego, co Pani mówi, budowanie relacji z dziećmi, zwłaszcza na samym początku, jest w dużym stopniu dbaniem o siebie. Dużo rzeczy trzeba przepracować, poukładać.

KG: Nie wychowamy nikogo, nie wychowując siebie. Te dwie rzeczy są paralelne. Nie mogę wymagać od dziecka czegoś, czego nie wymagam od siebie. Nie mogę wymagać od dziecka prawdomówności, kiedy sama mijam się z prawdą. Nie mogę wymagać od dziecka punktualności, jeżeli dla mnie samej czas nie ma w ogóle znaczenia. I tak dalej, i dalej. Nie mogę wymagać porządku, jeśli sama nie jestem porządna. I warto pamiętać, że dzieci się w nas przegłądają, a my przegłdamy się w dzieciach. Czasem patrzymy na swoje dziecko i myślimy „No, kurczę, niekoniecznie chciałam, żeby akurat TO się ujawniło” (śmiej). Albo jeszcze inaczej – kiedy odzywają się w nas nasi rodzice. Nagle mówimy głosem swojej matki...

Wydobywać ze skarbca

PP: Właśnie. Przejdźmy do tego i „zaczepmy” o kolejne pokolenie. Czy relacje z naszymi własnymi rodzicami wpływają na to, jak układamy relacje z naszymi dziećmi? W jaki sposób to, jak

nasi rodzice z nami budowali relacje, wpływa na to, jak my teraz tworzymy relacje z naszymi dziećmi?

KG: Ja myślę, że one są takim punktem startowym. I to może być superskok, kiedy mamy dobre relacje i mamy same superwspomnienia i dobry fundament. Ale czasami musimy zbudować coś od zera, bo nie mamy żadnych przykładów, jeśli rodzina była rozbita albo tej rodziny w ogóle nie było – ojciec był nieobecny albo matka była nieobecna. Myślę, że trochę tak, jak jest w *Ewangelii*: wydobywamy ze skarbca, którym my jesteśmy sami, rzeczy dobre i niedobre. To znaczy możemy wybrać, co bierzemy i jakieś tam rzeczy odrzucić.

Bardzo ważne jest też to, żebyśmy – decydując się na rodzinę, decydując się, że wchodzimy w małżeństwo, że będziemy mieli dzieci (niezależnie od tego, jak bardzo to jest abstrakcyjne i umiejscowione gdzieś w nieokreślonej przyszłości) – zastanowili się, jakimi rodzicami chcemy być, jaką rodzinę chcemy tworzyć i na kogo chcemy wychować swoje dzieci. To są fundamentalne pytania, na które, kiedy dzieci już są, trochę nie ma czasu, bo trzeba przewijać, karmić itd. I tylko przeżyć.

Mój dziesięcioletni syn (on jest taki bardzo poukładany) codziennie rano zadaje mi takie pytanie: „Mamo, a co ty planujesz dzisiaj zrobić?”. I czasem mam ochotę mu odpowiedzieć: „Przeżyć, synu. Do wieczora” (śmiech).

Zatem czerpać z tego, co było dobre. Odrzucić to, co było złe. W nas się wdrukowały pewne schematy zachowań, ponagrywały się i czasami się odzywają. Możemy się zatrzymać i pomyśleć: „O nie, ja tak nie chciałam robić”. Trzeba być bardzo, bardzo uważnym, świadomym tego, co się chce zrobić i bardzo uważnie rozeznawać, w którą stronę iść.

Nasze rodziny funkcjonowały w zupełnie innym świecie. Nie mówię, że gorszym czy też lepszym, były zupełnie inne warunki, więc trzeba to przykładać do nas samych i adaptować. Tak że ta więź z naszymi rodzicami jest ważna, ale nie determinująca.

PP: A jak relacje z dziadkami Państwa dzieci wpływały na wychowanie? Może najpierw z perspektywy Pani jako mamy – czy relacje z rodzicami, teściami wobec pojawienia się dzieci stały się trudniejsze? Były pomocą czy wręcz przeciwnie?

KG: My nie jesteśmy tu chyba dobrym przykładem. Moja mama nie żyje od długiego czasu, więc moje dzieci jej nie poznały. Mój tata jest człowiekiem, który generalnie jest wyautowany, nie

wtrąca się za bardzo, miał z nimi kontakt, jednak nie był to nigdy problem, ponieważ jest dziadkiem bardzo zdystansowanym. Relacje z rodzicami mojego męża to rzeczywiście było takie pole minowe, po którym oni też nie bardzo umieli się poruszać. Może nie potrafili wejść w rolę dziadków, jak teraz na to patrzę. Nie bardzo umieli oddzielić to, że są rodzicami, są dziadkami, że ja jestem synową. To im się wszystko mieszało. I rzeczywiście, widzę teraz to, jako babcią, że to się miesza. W pierwszych latach, kiedy dzieci wychodzą za mąż, żenią się i kiedy wchodzi się w nową rolę, trzeba bardzo przededefiniować relacje i swój stosunek do rodziny, która powstała. Myśmy mieli z nimi zawsze bardzo dobre kontakty i dzieci nadal mają bardzo dobry kontakt z babcią (teść już nie żyje). Natomiast to



było zawsze zdystansowane. Oni jakoś sami nie za bardzo też chcieli się mocno angażować w nasze życie i życie naszych dzieci. Trochę nam czasami było przykro z tego powodu, trochę czasem chcielibyśmy, żeby byli bardziej obecni, ale nigdy nie stawialiśmy tej kwestii na ostrzu noża. Myśleliśmy sobie, że to są ludzie, którzy już wychowali swoje dzieci i jeśli chcą odpocząć i mieć poczucie, że są teraz sami i mogą robić różne rzeczy, na które kiedyś nie mieli czasu, to mają do tego prawo.

Teraz, jako mama dorosłych dzieci, jako babcia, widzę, że jest to bardzo delikatna sfera i bardzo trzeba ostrożnie się w niej poruszać. Trzeba uważać na to, co się mówi, co się robi, jakie rady się daje, rzeczy, które się pokazuje, bo w tej delikatnej relacji starszej mamy i dorosłych dzieci, starszych rodziców, dorosłych dzieci, kiedy te dzieci mają swoich partnerów życiowych, swoje żony czy narzeczonych – każde słowo, które się wypowiada (trochę jak w śledztwie) może być użyte przeciwko nam (śmiech). Trzeba mieć też wiele dystansu do siebie – całe życie należy to wypracowywać – patrzeć na siebie trochę złośliwie, z przymrużeniem oka. No i poczucie humoru. Wiele rzeczy poważnych, jeżeli obróci się je w żart, gdzieś tam się „rozbija”.

To nie jest moje dziecko

PP: Powiedziała Pani, że trzeba przededefiniować relacje z dziećmi, które zaczynają mieć swoje życie. Podejrzewam, że trzeba robić to dość wcześnie – kiedy zaczynają mieć swoich partnerów: narzeczonych, małżonków. A jak to się zmienia, gdy im rodzą się dzieci? Jak to jest, kiedy się zostaje babcią, dziadkiem? Jak wtedy zmieniają się te relacje? Co zrobić, by były dobre? To jest pewnie punkt zwrotny, nawet jeśli dorosłość naszych dzieci mamy już przepracowaną.

KG: Ja opisałam swoje początki babciowe na blogu. Rzeczywiście, my tego nie wiemy, jak się rodzi pierwszy wnuk, że to nie jest moje dziecko. I to nawet nie jest tylko dziecko mojej córki czy mojego syna. To też dziecko tej drugiej osoby. Ja się na szczęście dość szybko zorientowałam i nie narobiłam dużo szkody, ale oczywiście, jak się pięć lat temu urodził mój pierwszy wnuk, to się rzuciłam w to z całą gorliwością młodej mamy. Wyprawka – i tu ja oczywiście wszystko wiem najlepiej (mam przecież pięcioro dzieci, czego mogę nie wiedzieć?!). Zanim zabiłam ich swoją życzliwością (śmiech) i chęcią pomocy, otrzeźwiła mnie taka historia, którą też opisałam na blogu – kołyski, którą zawsze chciałam mieć jako mama, a która z pewnych powodów, nie pamiętam już jakich, była dla mnie niedostępna. Było to moje niespełnione marzenie. Teraz takich kołyszek jest pełno, one są przepiękne i bardzo pożyteczne i postanowiłam, że my kupimy córce i zięciowi dla Benia, który się miał urodzić, taką piękną kołyskę. No i kupiłam. Cała szczęśliwa, jak królowa, dałam im tę kołyskę. Oni popatrzyli, podziękowali, ale bez entuzjazmu (śmiech). No i okazało się, że akurat na tym etapie ich rozwoju jako rodziców postanowili, że nie będą kołysać dziecka w ogóle, bo gdzieś wyczytali, że jest to dla dziecka niedobre. I ja się strasznie na nich obraziłam. Postanowiłam, że już nie będę się odzywać, nie będę się wtrącać w ogóle. Po czym właśnie się stuknęłam w głowę (śmiech) i myślę sobie: „Kobieto, to nie jest twoje dziecko! Dobrze, dostali kołyskę, jak jej użyją na podpałkę, to jest tylko ich sprawa. Będą kołysać – nie będą kołysać – to nie jest mój problem!”. I ta historia, właściwie jeszcze zanim się Benio urodził, bardzo postawiła mnie do pionu, że ja jestem babcią. To inna rola. Ja mam może czasami uzupełnić jakieś braki, które mogą zaistnieć, ale nie ja jestem tą osobą, która wychowuje, nie jestem tą osobą, która kształtuje tego nowego człowieka. To nie jest moje dziecko.



W tej chwili bardzo się staram, żeby wszystko konsultować. I jak dzieciaki zostają z nami, to mimo że moja córka (która jest taką mamą sfrustrowaną, jakoś nie może jeszcze swojego czasu przeznaczyć dla dzieci; tęskni za pracą naukową, ma umysł akademicki i trudno jej jeszcze pogodzić się z macierzyństwem), jak oddaje dzieci, to najchętniej uciekłyby od razu, ja ją wypytuję: co, kiedy – choć ona mówi, że bez znaczenia. A ja sobie myślę: „Teraz mówisz: daj im, jak chcesz, a potem będzie problem”, więc staram się wszystko ustalać, żeby było według ich preferencji, a nie tego, co ja wymyślę. Oczywiście, w miarę jak dzieci rosną, ich rodzice chcą coraz bardziej się radzić. Zaczynają coraz częściej przychodzić z pytaniami, wątpliwościami. Może jest też tak dlatego, że ani ja, ani mąż nie narzucaliśmy się ze swoimi radami, ze swoją mądrością czy pseudomądrością, jaką wydaje nam się, że mamy. Dlatego teraz oni sami przychodzą. Moja córka ciągle pyta: „Jak ty sobie radziłaś, kiedy miałaś nas czworo?” Ja mówię, że „po prostu lubiłam z wami być”. Poza tym, to jest co innego. Ja im zawsze mówię, że czworo dzieci łatwiej mieć niż dwoje.

Wychowawcy sfery transcendentnej

PP: Tak myślę, że to też jest owoc tego, że młodzi rodzice, córka i zięć, poczuli się ugruntowani w swojej kompetencji. Że nikt im nie mówił, co mają robić i teraz, jako kompetentni rodzice, radzą się swoich kompetentnych rodziców, którzy mają większe doświadczenie i wiedzę. To na pewno sygnał zdrowej relacji.

Powiedziała Pani, że dziadkowie nie są od wychowywania. Ale mogą jakoś się włączać w wychowanie dzieci? Nie mówię oczywiście o wchodzeniu w kompetencje rodziców. Czy dziadkowie w tych czasach, gdy wiedzy szukamy raczej w internecie i książkach, a nie u starszych pokoleń, mają jeszcze szansę realnie wpływać na wychowanie swoich wnuków?

KG: Ja myślę, że o ile zostawia się rodzicom ukształtowanie człowieka, o tyle, kiedy jesteśmy z wnukami jako dziadkowie, to też ich kształtujemy. Tym, jacy jesteśmy, atmosferą naszego domu, tym, że u babci i dziadka jakoś jest. Jest inaczej niż u nas w domu, bo jest na przykład pies i jest kot, nie ma telewizora, dużo się czyta, dużo się opowiada, więc to wszystko ma wpływ. Ja myślę, że dziadkowie powinni być bardziej wychowawcami sfery transcendentnej w człowieku. Nie mówię tu koniecznie o stosunku do Boga, bo o to powinni zadbać przede wszystkim rodzice, a jeśli nie, to dziadkowie (ale koniecznie za wiedzą i zgodą rodziców). Chodzi mi raczej o sferę ducha w sensie opowieści o czymkolwiek, o przyrodzie, historii. Literatura, poezja, jaką się czyta, baśnie, które opowiadamy. To wszystko bardzo kształtuje tę wrażliwą sferę ducha, która powinna być tak samo wychowywana jak i sfery fizyczna czy emocjonalna (te z kolei są bardziej w kompetencji rodziców). To dziadkowie, tak jak mówiłam na początku, w tej relacji z małymi dziećmi powinni być dostępni z tym, co sobą reprezentują. I to powinni dawać w sposób nienarzucający się, przez osmozę, naturalnie. Dzieci powinny tym przenikać i do tego jest potrzebny dość częsty kontakt, dlatego my trochę żałowaliśmy, że dziadkowie naszych dzieci jakoś nie bardzo często z nimi byli. Ale też przekazali pewne rzeczy. Mam nadzieję, że nam się też to uda.

Dziadkowie od rozpieszczania?

PP: A jak się Pani odniesie do popularnego powiedzenia, że „rodzice są od wychowywania, a dziadkowie od rozpieszczania”? Co z tym rozpieszczaniem? Bo to jest jednak często argument, którym dziadkowie przykrywają różne „kontrabandy” w stosunku do rodzicielskich zasad i za-kazów.

KG: Trochę prawdy w tym jest, oczywiście. Jako dziadkowie mamy czasami takie poczucie, że coś nam się nie udało, czegoś nie mogliśmy dać naszym dzieciom – niekoniecznie dlatego, że nie chcieliśmy czy nie umieliśmy, tylko dlatego, że okoliczności pokierowały nami inaczej. Teraz więc mamy wnuki i możemy im dogadzać. Ale oczywiście nie można w tym przesadzać. Można mieć coś takiego fajnego, z takiej sfery słodyczowo-bajkowej (czy co tam dzieci lubią). U nas

są na przykład tak zwane „lodziki” w zamrażarce, kaktusy (dzieci mają alergię na mleko, więc muszą być wodne) i ja pilnuję, żeby zawsze były, bo dzieci wiedzą, że w domu nie ma, ale jak do babci i dziadka przyjadą, to zawsze „lodziki” są. Takie drobne, fajne rzeczy, ważne dla dzieci, dobrze wprowadzić – i nie przesadzać oczywiście.

Ja pamiętam ze swojego dzieciństwa jedną z moich babć, która zawsze czekała na nas (na mnie i mojego brata) z czekoladą. To były lata osiemdziesiąte, czekoladę kupowało się w Peweksie, a u babci zawsze była czekolada z orzechami. Ja to pamiętam do tej pory, z taką czułością właśnie, że ona myślała o nas, że przyjedziemy, że czekała, że się cieszyła. No właśnie takie rozpieszczanie to tak. Ale nie spełnianie każdego życzenia wnuczka, jakieś obkupowanie się bzdu-rami „no bo on chciał” – to nie jest dobre. U nas tylko „lodziki” (śmiech). Choć mój wnuczek jest świetnym negocjatorem, naprawdę, i czasem się zdarza, że mnie naciągnie i to mnie bardzo bawi, bo widzę, jak taki pięciolatek, znając mnie, umie wykorzystać moje słabości, żeby dostać jakiś samochodzik malutki na przykład (choć ma ich całą półkę).

Dobrze wyposażone zaplecze

PP: A jeszcze tak poważniej. Co robić, kiedy dziadkowie widzą, że coś nie gra w wychowaniu wnuków, że coś jest poważnie nie tak? Co wtedy dziadkowie powinni zrobić? A może nie powinni robić nic?

KG: Zdecydowanie, jeżeli widzi się, że sytuacja jest naprawdę trudna, to muszą wkroczyć. I pod-ając takie środki, jakie są konieczne. Czasem wystarczy jakaś poważna rozmowa z rodzicami, bo mogą oni nie zdawać sobie z czegoś sprawy.

PP: Czyli dziadkowie pamiętają, że pozostają rodzicami swoich dorosłych dzieci?

KG: Nie przestają być rodzicami, ale w momencie, kiedy dziecko wychodzi za mąż czy żeni się, stajemy się też partnerami w realizowanym powołaniu, w małżeństwie. Trochę obserwujemy się jak rodzice rodziców, jak małżeństwo małżeństwo. I nie z pozycji nadrzędnej, pozycji matki: „Ja ci mówię, że ma być tak i tak”. Tylko jako ktoś, kto jest w tej samej sytuacji, tylko krok do przodu. Jest w stanie coś przewidzieć, powiedzieć, że to, co teraz robicie, nie jest dobre, krzywdzi dziecko na przykład. Powinniście coś zrobić. Też ze swoją relacją. Bo czasami jest tak, że to tu jest problem.

To jest teraz powszechne wśród młodych, że oni wchodzą w małżeństwo i od razu jest konflikt. Tego kiedyś nie było – konflikty pojawiały się po roku, dwóch, trzech latach, teraz oni często nie znają siebie w ogóle, nie mają kontaktu z samymi sobą i wchodzą tacy pokawałkowani w małżeństwo. Czasem więc może być po prostu tak słabo z ich więzią, że wpływa to na dzieci. Wtedy też trzeba poradzić, być, zająć pewne stanowisko. Czasami warto pogadać z drugimi dziadkami i utworzyć pewien front. W ogóle dobrze jest zaprzyjaźnić się ze współbraćmi. To dobrze działa na rodziców. Mimo że jesteśmy z dwóch różnych bajek, z dwóch różnych środowisk, możemy razem działać dla dobra tej nowej rodziny. Na przykład z teściową mojej córki umawiamy się, jak się podzielimy dziećmi (kiedy nie ma możliwości, żeby jedna z nas wzięła dwójkę, a z jednym jakoś sobie poradzimy). Działamy tak na zapleczu, żeby im pomóc (oni niekoniecznie nawet o tym wiedzą). Czasem wychodzimy z jakąś propozycją. To też jest ważne – nie zawsze trzeba czekać na to, żeby oni się zgłosili z prośbą o pomoc, bo mogą czuć się niezręcznie: zwłaszcza zięć czy synowa. Można wyjść z taką propozycją: „Słuchajcie, jak chcecie, to możecie zostawić z nami dzieci” albo „Weekend mamy wolny, to możecie sobie gdzieś pojechać, a my się zaopiekujemy dziećmi”. Dziadkowie są zapleczem. Takim dobrze wyposażonym zapleczem.

Jeszcze *à propos* zaplecza i relacji. Pamiętam, jak byłam mamą podrośniętych już dzieci, byłam na kursie w Madrycie i mieszkaliśmy u cudownej starszej pary Hiszpanów. Oni mieli jakieś dzie-

więcioro dzieci i trzydzieścioro wnuków. W każdym razie ja byłam zachwycona, ponieważ ci państwo mieli w domu pieluchy we wszystkich rozmiarach, śliniaki, widać było, że ich wnuki tam są i dziadkowie są przygotowani. Ja czegoś takiego nie doświadczyłam – jak myśmy jechali do dziadków, to miałam walizkę wypakowaną wszystkim, bo tam tego nie było. I stwierdziłam, że ja też tak chcę, też będę taką babcią i oczywiście mam. Kiedy moja córka przywozi dzieci, to jest wiadome, że mają tu swoje ulubione naczynia, są pieluchy, jakieś ubrania na zmianę, żeby one czuły, że to też ich dom. Dom z daleka od własnego domu, ale też dom, w którym są oczekiwani, mile widziani. Cieszymy się wszyscy, jak przyjeżdżają, chociaż jesteśmy wykończeni (śmiech).

Skomplikowany los babci

PP: A gdyby Pani miała określić, co jest przyjemniejsze, lepsze – bycie babcią czy mamą? Kim Pani woli być – babcią czy mamą?

KG: (śmiech) Ja na pewno wolę być mamą.

PP: Łatwiejsze?

KG: Tak. Mam cały czas w pamięci to, co mówiłam na początku, że to nie jest moje dziecko. I że wielu sposobów rodzicielskich nie mogę zastosować, bo to nie jest moje dziecko. Głównie chodzi o dyscyplinę. Na przykład, kiedy nasze dzieci były małe, mieliśmy wypracowaną zasadę, że nie nosimy jedzenia po domu, jemy zawsze przy stole. Mnie się po prostu nie chciało nieustannie sprzątać. Natomiast mojej córce to noszenie jedzenia po domu nie przeszkadza. Jak więc teraz mam zdyscyplinować moje wnuki, tak żeby nie podważyć zasad ustalonych przez rodziców? Próbuje tłumaczeniem: „no, macie zasady w swoim domku, tu jest nasz domek i to są nasze zasady”, więc jakoś tam się próbuje, ale to nie jest łatwe, bo ja nie chcę wchodzić w kompetencje rodziców, w kompetencje moich dzieci.



Nie poprawiać błędów na wnukach

PP: To jest szalenie wartościowe – pokazuje szacunek do rodziców.

KG: Tak, oni (rodzice) są zawsze punktem odniesienia do tego, co robimy. Tak że z pewnością łatwiej jest być mamą, trudniej jest być babcią. To bardziej skomplikowane, choć jest w tym wiele radości, bo to są małe dzieci, wnoszą dużo takiej świeżości, dobra, uroku w życie dziadków.

Jest też czasem taki problem, że dziadkowie usiłują naprawić swoje błędy wychowawcze na wnukach – to też nie jest dobre. Bo te błędy już zostały popełnione, można o nich porozmawiać, jeśli to rzeczywiście było coś ważnego, jakiś taki błąd ewidentny, który mógł bardzo kogoś zranić. Myślę, że warto o tym porozmawiać, przeprosić po prostu czy wytłumaczyć daną sytuację.

Ja na przykład byłam w szoku teraz, mając już dorosłe dzieci. Myśmy się oczywiście uważali zawsze za fantastycznych rodziców (jakżeby inaczej). Natomiast mieliśmy kilka zewnętrznych kryzysów. Nie między nami. W pewnym momencie nasza najmłodsza córka zachorowała na raka, mąż stracił pracę – to były takie rzeczy bardzo trudne dla nas jako dla rodziny i wydawało się nam, że jednak jesteśmy cały czas z dziećmi, że tłumaczymy, że one wiedzą, jaka jest sytuacja, i to przechodzą jakoś tam „w miarę”. Natomiast teraz okazało się, że one się z tym cały czas zmagają. Mimo że oni nie byli zranieni przez jakieś nasze decyzje, że na przykład: wybraliśmy pracę i dziecko oddawaliśmy komuś albo siedziało godzinami w świetlicy (przykłady teraz wymyślam), było to zdarzenie zewnętrzne, a oni się cały czas z tym zmagają. I jeżeli widzimy, jako rodzice

dorosłych dzieci, że coś się dzieje (a to czasami prowadzi do depresji czy do jakiegoś obniżenia nastroju), warto wejść w głębszą rozmowę, dowiedzieć się, o co chodzi, od czego się zaczęło. I czasami może być rozmowa bardzo emocjonalna, tak jak między mną a moją córką – ale bardzo uzdrawiająca obie strony. Bo gdzieś tam w niej były żale, gdzieś we mnie były żale, że ona jako dziecko też nie zachowała się w jakiś tam sposób. Takie spotkanie się niekoniecznie w tym miejscu, gdzie to się działo, kiedy ona była mała, a ja zaangażowana w bardzo ciężką chorobę jednego z dzieci. Nie można więc poprawiać błędów wychowawczych, zwłaszcza na wnukach – np. jestem cały czas z wnukiem, bo nie mogłam być cały czas z dzieckiem – tylko załatwić to bezpośrednio z zainteresowanym, bez pośrednictwa wnuków. To dużo zdrowsze.

Fundamenty relacji

PP: Może na koniec jeszcze jedno pytanie. Gdyby miała Pani wybrać, co jest najważniejsze dla zdrowych relacji w rodzinie – między dziadkami, rodzicami, wnukami – co by to było? Jaka jest najważniejsza rzecz? Mówiła Pani o czasie, o rozmowach, o szacunku. Czy wszystko na raz, czy może jest coś, co jest fundamentem dla relacji między pokoleniami w rodzinie?

KG: Szacunek. Szacunek do tego, że to jest nowa rodzina, nowa jakość, szacunek do ich kompetencji i wiara w możliwości tych młodych ludzi – że sobie poradzą.

PP: Bo dobrze ich wychowaliśmy.

KG: Bo dobrze ich wychowaliśmy – jak umieliśmy (śmiech). To chyba Młynarski śpiewał „Wychowała jak umiała” (śmiech). Ale tak jak patrzę na nich, na moje dzieci, widzę pewne zwyczaje z domu, które myśmy zainicjowali z mężem. To jest radość, że się nie schrzaniło, że nie jest tak źle, choć oczywiście zawsze mogło być lepiej. Ale szacunek dla dorosłych dzieci i wiara w to, że sobie poradzą, są trudne. Ja rozmawiam teraz dużo z różnymi rodzicami, którzy się decydują na edukację domową i choć może nie jestem jakimś ekspertem od edukacji domowej, ale miałam czworo dzieci, więc naturalnie szukają u mnie rad. I tym, co mnie naprawdę zbija z nóg, jest u rodziców brak wiary we własne dzieci.

PP: Z czego on może wynikać?

KG: Nie wiem. Pewnie z braku pewności siebie, siebie jako matki, jako ojca. „Nie wierzę w to, że dobrze je wychowuję, więc nie wierzę, że takie niedobrze wychowane dziecko sobie poradzi”. Albo „czasami czuję się trochę jak Pan Bóg, że muszę być wszędzie, wiedzieć wszystko, wybiegać naprzód i pilnować przyszłości”. A my nie jesteśmy zbawicielami naszych dzieci. Po pierwsze, nie jesteśmy odpowiedzialni za złe decyzje naszych dorosłych dzieci. Niektórzy rodzice bardzo to przeżywają i ja staram się ich bronić przed nimi samymi – nie jesteście odpowiedzialni za złe decyzje swoich dzieci. Dzieci w pewnej chwili się rozchodzą i jeśli są wierne wartościom, które im wpajaliśmy, to wspaniale, ale czasami tak nie jest. To jest tajemnica ludzkiej wolności, ale to nie jest moja odpowiedzialność.

Nie mogę żyć z takim piętnem, że moje dziecko coś tam zrobiło i gdzie był mój błąd... Na pewno gdzieś był. Ale to jest kwestia wolności. W sumie sama się zastanawiam, skąd się bierze ten brak wiary w dzieci. Wszyscy mi mówią: „No, twoje dzieci to były takie cudowne” – no oczywiście, mnie to się trafiły gotowe egzemplarze: wszystko chciały, wszystko umiały, były zdyscyplinowane i tak dalej... No naprawdę. Dzieci mają dużo zdrowego rozsądku. Dzieci mają dużo ciekawości świata, dzieci mają wiele dobra w sobie, wiele empatii, tylko trzeba im pozwolić te wszystkie cnoty ćwiczyć. Nie być rodzicem „helikopterowym”, który cały czas gdzieś tam jest, tylko pozwolić im popełniać błędy, ponieść konsekwencje ich decyzji. I dać im ten czas, który jest zawsze kluczowy. Nie da się wychować dzieci, nie dając im swojego czasu. Nie ma takiego sposobu.

ALICJA RUCZAJ

SPÓDNICZKA ZE STAREJ PODSZEWKI

„Teraz odchodzą w ciszy.
A wraz z nimi umierają ich historie”.



Książka Urszuli Ziober, *Spódniczka ze starej podszewki*, powstała z obowiązku pamięci i z wdzięczności. Zacytowane w motcie do tego tekstu zdania pochodzą ze *Wstępu* autorki. Tekst, który dostajemy do ręki, pierwotnie był historią mówioną, są to wspomnienia babci Urszuli Ziober, Janiny Janowicz – z nich powstała ta przejmująca opowieść. Dlaczego? Najlepiej oddać głos autorce, która napisała we wstępie: „Postanowiłam napisać tę książkę, ponieważ uważam, że to także mój obowiązek. (...) Otrzymałam w darze to wszystko, za co oni walczyli i umierali (...). Niech ta opowieść będzie moim hołdem dla nich”. Książka to więc jak gdyby prezent od wnuczki dla babci – najcenniejszy, bo ocalający pamięć – i to właśnie czyni ją wyjątkową na tle licznych wojennych wspomnień.

Jest to opowieść o rodzinie, jakich wiele. Mama bohaterki to Regina z domu Radomska, ojciec – oficer wojska polskiego, kapitan Julian Nietupski. Pierwsze rozdziały opisują losy miłości rodziców Janki, jej dom, przeprowadzkę z poznańskiej Śródki do nowo zbudowanego domu na Winogradach. Są lata trzydzieste. Cenną zaletą opowieści jest zarówno tło historyczne, które pozwala zobaczyć tę rodzinę z perspektywy wydarzeń krajowych i europejskich – krótkie historyczne wprowadzenia do każdego rozdziału okażą się przydatne, gdy polecimy książkę nastolatkom, którzy powinni być najlicniejszą i najważniejszą grupą odbiorców – jak i szczegółowe opisy domu, wystroju wewnątrz, sukni i biżuterii pani Nietupskiej, spotkań towarzyskich. Patrzymy na zdjęcia z domowego archiwum autorki i wiemy już, że rodzinne szczęście zostanie za chwilę przerwane. Wojna zniszczy ten świat na zawsze. Losy rodziny jak w soczewce skupiają losy innych, wielokrotnie opisanych rodzin. Przypomina się tutaj Domeczek na warszawskim Żoliborzu i rodzina Melchiora Wańkowicza opisane w słynnym *Zielu na kraterze*. Przypominają się również te wszystkie dramaty, które rozgrywały się na zachodzie Polski po ataku Niemców i na wschodzie po wkroczeniu Sowietów – zagłada polskich domów, wywózki całych rodzin; wiele z nich, tak jak bohaterki książki, trafiło na kazachskie stepy. Śledzimy nastroje, jakie panowały pamiętnego sierpnia 1939 roku, próby zabezpieczenia rodziny przed działaniami wojennymi (wysłanie żony z dziewczynkami do starszego brata do Białegostoku), przejmująco opisana scena pożegnania na poznańskim dworcu. Janka widzi swego ojca po raz ostatni. Nazwisko Juliana Nietupskiego znalazło się na jednej z pierwszych list katyńskich. Ale o tym jego rodzina dowie się kilka lat później.

Kolejne rozdziały to próby przetrwania u rodziny męża w Białymstoku. Wkroczenie Sowietów, troski dnia codziennego pod nową okupacją i pierwszy list od męża z obozu w Kozielsku, nadzie-

ja (bo przecież to obóz jeniecki, a jeńców wojennych chroni konwencja genewska) pomieszana z lękiem (bo to Sowietci, a im się nie ufa). Mimo to we wspomnieniach z tego okresu jest jeszcze dużo radości towarzyszącej zabawom z siostrą Basią i kuzynkami, jest tu dużo dziecięcej beztrojski (babcia autorki ma wtedy 11–12 lat), nieświadomości trudności, z jakimi musieli borykać się w tym czasie dorośli. To, co najgorsze, było jeszcze przed nimi...

We wszystkich znanych nam książkach z tego okresu te sceny – aresztowanie i straszliwa, pełna upokorzeń i męki droga na Wschód – wyglądają bardzo podobnie. Najpierw zewsząd nadchodziły niepokojące wieści, że nocą, nad ranem, w środku zimy wyciągano ludzi z domów, ładowano do bydłych wagonów i wywożono nie wiadomo dokąd. Pani kapitanowa Nietupska i jej rodzina miała „szczęście”. Po nich enkawudziści przyszli dopiero po świętach Wielkanocnych, nocą 12 kwietnia 1940 roku. Była już wiosna. Kilkanaście minut na pakowanie, przejazd ciężarówką na stację kolejową i mordercza podróż w bydłych wagonach; krajobrazy, sceny z miejsc postoju widziane oczyma dwunastoletniej Janki. Cel podróży – miejscowość w północno-wschodniej części Kazachstanu.

Kolejne opowieści są bolesnym, ale niezwykle cennym świadectwem czasu i miejsca kobiety, której zabrano dzieciństwo i młodość. Ciężka praca w sowieckich kołchozach, opowieści o matce, która stara się zapewnić swoim córkom miejsce do przeżycia, napotkani ludzie, o których opowiada z całą życzliwością i zrozumieniem ich także niezwykle trudnej sytuacji; zresztą jeden z rozdziałów nosi tytuł *Dobrzy ludzie ze złego kraju*. Wreszcie opisy krajobrazów, niezmierzonych kazachskich stepów, groźnego, ale i życiodajnego Irtysza. Z tych zajmujących wspomnień warto może przywołać dwa. Najpierw dwuletnia samotna walka Janki o życie swoje i młodszej siostry, Basi, po tym, jak ich matka odmówiła zrzeczenia się obywatelstwa polskiego i przyjęcia paszportu sowieckiego. Została za to skazana na dwa lata łagru. Ciężka praca, ponad siły nastoletniej dziewczynki, troska o młodszą siostrę, niepokój o matkę. Z drugiej strony matka, która walczy o swoje życie, aby wrócić do opuszczonych córek. Naprawdę trudno sobie wyobrazić uczucia, jakie musiały wypełniać jej udręczoną głowę.

I wreszcie koniec wojny. Gehenna starań o możliwość powrotu. Mimo pobytu w łagrze, Reginę Nietupską pozbawiono wszystkich polskich dokumentów, została z sowieckim paszportem, przed którym się tak broniła, a to uniemożliwiało powrót do Polski. Domagano się jakiegokolwiek dokumentu potwierdzającego polską tożsamość. I tu wtrąciła się Opatrzność. Szukając po raz kolejny czegokolwiek, co potwierdzałoby ich polskość, mama natrafiła na pamiątkę Pierwszej Komunii Świętej Janki, z widniejącym na odwrocie napisem: „Poznań 12 grudnia 1937 r.”. Bardzo ciekawa jest rozmowa mamy z enkawudzistą. Następne rozdziały to gorączkowe przygotowania do powrotu, męcząca podróż z przygodą w Moskwie, ale jakże inna, bo jednak pełna nadziei. Nie brakowało i obaw – babcia pani Urszuli szczerze opowiada o swoim rozczarowaniu po pierwszym kontakcie z pewną Polką, która odmówiła jej wody. W Poznaniu – zrujnowany i rozszabrowany dom, konieczność zaczynania wszystkiego od nowa. Już bez ukochanego ojca, bo właśnie jak grom z nieba dopadła je informacja o tym, że Julian Nietupski został zamordowany w Katyniu.

Życie jednak toczyło się dalej. Ostatnie rozdziały opisują powrót Janki do szkoły, świetnie zdaną maturę i przerwane, przez brak pieniędzy, marzenia o wymarzonych studiach. Praca w Zakładzie Radiologii i wreszcie miłość. Stanisław Janowicz, przyszły mąż Janiny, wytrwale zabiegał o jej uwagę, a później rękę. Ale i to, jak wszystko w życiu tej dzielnej dziewczyny, nie było proste. Ciężka praca od dziecka i trudne warunki, w jakich żyła na kazachskiej ziemi, dały o sobie znać. Zaawansowana gruźlica spowodowała, że Staszek musiał poczekać na swoją ukochaną. Pobrali się w 1955 roku w kościele św. Wojciecha w Poznaniu, do którego chodziła z ojcem jako dziecko. Przez cały PRL ojciec pani Janiny w oficjalnych dokumentach widniał jako zmarły w Kozielsku w maju 1946 r.

Wspomnienia babci spisane przez wnuczkę, dzięki bardzo osobistej narracji, pozwalają czytelnikowi zbliżyć się do opisywanej historii. Barwne, przejmujące, a czasami nawet zabawne historie

(jak pierwszy i ostatni papieros Janki), wzruszające, momentami wręcz liryczne opisy chwil spędzonych z ojcem. Zwracają również uwagę ciekawe obserwacje miejsc i ludzi, których napotyka na swojej drodze młoda, dorastająca w tak okrutnej rzeczywistości dziewczyna. Opowieść jest przy tym snuta z delikatnością, pozbawiona drastycznych opisów.

A przecież tej niezwyklej książki mogłoby nie być. Jednak powstała z intymnej relacji między babcią i wnuczką. Z opowieści, których wnuczka najpierw chciała słuchać, a babcia opowie-dzieć. Autorka ma świadomość tego, że należy do „pokolenia, które jest pomostem między przeszłością i przyszłością”, ale musiała, jak pisze wcześniej, „do tego dorosnąć, przygotować się i próbować rozumieć”. Choć przecież nie było to łatwe. Jestem wdzięczna Urszuli Ziober za ten wysiłek. Historia pani Janiny Janowskiej z domu Nietupskiej nie umrze wraz z nią, a zadbała o to jej wnuczka.

IZABELA JUREK

KSIAŻKI O BABCIACH I DZIADKACH

W uniwersalnej klasyfikacji dziesiętnej, stosowanej w bibliotekach na całym świecie, nie ma kategorii „książki o babciach i dziadkach”. Lecz kiedy na stronie biblioteki, z której wypożyczam książki, wpiszę temat: „dziadkowie i wnuki”, pojawia się 17 stron z tytułami. A i wymienione tam pozycje to nie wszystkie opowieści o babciach i dziadkach, które w bibliotece i jej filiach można znaleźć (sprawdziłam). Gdy chcemy drążyć temat dalej i znaleźć kolejne książki o relacjach międzypokoleniowych, można skorzystać ze zwykłej wyszukiwarki internetowej – teraz dopiero zostaniemy zasypani spisami książek! Cóż wybrać z tego, co proponują twórcy tych spisów – autorzy (głównie autorki) blogów, ale i liczni komentatorzy, dorzucający kolejne tytuły? Poniżej przedstawiamy kilkanaście propozycji. Zgrupowane zostały tematycznie.

Portrety zwykłych, troszczących się dziadków (często pozostających w tle): *Dzieci z Bullerbyn* Astrid Lindgren – któż z nas nie pamięta, jak dziewczynki chodziły czytać Dziadusiowi?; wspaniała para dziadków Julka i Mariana – szorstkich, skrytych i opiekuńczych, dających prawdziwe poczucie bezpieczeństwa chłopcom, po raz pierwszy w życiu spotykających się z sieroctwem kolegi, w powieści *Ten obcy* Ireny Jurgielewiczowej. Postacią na swój sposób komediową jest dziadek licealistki Buby – tytułowej bohaterki bardzo zabawnej, choć ukazującej wiele poważnych problemów opowieści dla nastolatków – *Buby* Barbary Kosmowskiej.



Babcie i dziadkowie „przyszywani” pojawiają się w książkach: *Sklep z babciami* Dominiki Gałki (5+), *Wypożyczalnia babć* Marii Marjańskiej-Czernik (3–5 lat; tu dodatkowo osławiamy małe dziecko z instytucją biblioteki), znanej od kilku pokoleń *Babci na jabłoni* Miry Lobe ze świetnymi ilustracjami Mirosława Pokory (6–8 lat), *Czy umiesz gwizdać, Joanno?* Ulfa Starka i Anny Høglund, przejmująca opowieść o chłopcu i pensjonariuszu z domu starców (6–8 lat), *Dziadek na huśtawce* Renaty Piątkowskiej, autorki wielu pięknych i ważnych książek dla dzieci (5–8 lat). Książki te ukazują zwykle zapracowanych, nieobecnych rodziców, samotność dziecka i jego tęsknotę za dorosłym, który miałby dla niego czas i ciepło. Dzieci te znajdują – na różny sposób – osoby, które podejmują się dobrowolnie pełnić rolę babci i dziadka. Czasem

są nimi także samotni, starsi ludzie – bez rodziny lub od niej oddaleni, czekający, tęskniący za kimś, z kim mogą spędzić czas.

Babcie wyobrażone – zanim Andi z *Babci na jabłoni* spotkał starszą panią, która stała się jego babcią przyszywaną, z inną, wypisz, wymaluj jak ze starego zdjęcia damą spotykał się na drzewie...



Babcie i dziadkowie chorzy, umierający: *Niezłe ziółko* Barbary Kosmowskiej – jak inne książki autorki, i ta przynosi subtelnie, lecz celnie ukazane postacie w ważnych życiowych sytuacjach. W tej historii ujmuje godną naśladowania przez wszystkie babcie umiejętność nawiązania więzi z wnukiem i dodania mu wiary w siebie (6–10 lat). Ciekawa jest także włoska książka *Mój dziadek był drzewem czereśniowym* Angeli Nanetti, zaskakująca, wzruszająca historia o rodzinie i o stracie (7–11 lat).

Babcie o drugim obliczu, niezwykle – taką babcią, nietuzinkową, jest Babcia Mała z *Niezłego ziółka*. Brawurowo opowiedziana opowieść o starszej pani to *Babcia rabuś* Davida Willimsa (8–12 lat), bardzo zabawna, ale i pouczająca historia trudnej relacji przekształcającej się w przyjaźń. W pewnym sensie i Małgorzata Musierowicz robi czytelnikom w „Kalamburce” niespodziankę, czyniąc z (pozornie zwykłej mamy i babci) Mili Borejko słynną, modną, tajemniczą twórczynię sztuk teatralnych. Do niezwykłych babć – także związanych z teatrem – należy Babsko, objawiająca się pewnej dramatycznej nocy, nieznana wcześniej babcia Franciszki, tytułowej bohaterki znakomitej książki Anny Piwkowskiej (10–14 lat).



Babcie i ich dorośli wnukowie – a także zgrzyty i trudności w relacjach między nimi znajdziemy w powieści *Dokąd nas zaprowadzisz* – 5. części cyklu Małgorzaty Klunder *Niziołkowie z ulicy Pamiętkowej*. Nadmienimy tu tylko, że obaj wnukowie są... księżmi.

I na zakończenie tego – bardzo ograniczonego – przeglądu zwracamy uwagę na nowatorską grupę książek: pozycje, które można byłoby określić jako „**interaktywne**”. Są to pięknie wydane notesy z miejscem na wpisywanie przez seniorów ich wspomnień, czasem z naprowadzającymi pytaniami: *Dziadku [Babciu], chcę poznać Twoją historię, Babciu [Dziadku], opowiedz o sobie czy Opowiedz mi, Dziadku [Babciu]...*





BEATA KOZYRA

Z FILMAMI NA CO DZIEŃ

Codziennie obcowanie ze sztuką to chodzenie na wystawy do galerii sztuki, muzeów, teatru, słuchanie muzyki, czytanie książek oraz oglądanie filmów – zarówno w kinie, jak i w domu. Relacje z X muzą możemy rozumieć szerzej: nie tylko jako przyjemne spędzanie czasu w rodzinie czy wśród przyjaciół, ale również jako uwrażliwianie na potrzeby innych czy pretekst do dyskusji na temat treści i problemów, które zostały w nich przedstawione. Rozmowy o filmach mogą odbywać się w domu, ale i w szkole, która w ten sposób wychowuje przez sztukę, co rozumie się jako wpływanie na odbiorcę, jego przeżycia wewnętrzne i kształtowanie jego uważności na drugiego człowieka i jego potrzeby. Uważa się, że obok wychowania do sztuki, czyli edukacji teoretycznej, która pomaga odczytywać symbole i kody kulturowe, wychowanie przez sztukę ma bezpośredni wpływ na kształtowanie moralne odbiorcy. Kontakt ze sztuką, twórczy czy bierny, prowokuje do przemyśleń i uwrażliwia.

Odbiór filmu, ze względu na dostępność czy łatwość w odbiorze, zwykle nie wymaga tyle wysiłku intelektualnego co książka. Jest formą powszechnie dostępną zarówno w mieście, jak i na prowincji. W ostatnich dwóch latach zmagania się z pandemią oglądanie filmów w małym gronie było jedną z niewielu możliwości kontaktu z kulturą.

Nasze dzieci lubią filmy. Częściej obcują nie ze słowem pisany, a z obrazem, który jest wszechobecny i bardziej przystępny. Warto, by to nie była tylko rozrywka. Będziemy więc na bieżąco polecać filmy, zarówno te stare, jak i nowe, popularne, ale i trudniej dostępne, które warto zobaczyć ze względu na poruszane w nich tematy.

Dziś kilka propozycji filmowych, które poruszają temat relacji między pokoleniem dziadków, ich dzieci i wnuków, pokolenia starszego z młodszym. Niektóre z nich mogą być oglądane całymi rodzinami, inne przeznaczone są tylko dla nastolatków i dorosłych, bo wymagają większej dojrzałości odbiorcy; łatwe i przyjemne, ale również takie, które nas poruszą i zostaną w nas na dłużej.

1. *Ania z Zielonego Wzgórza* (*Anne of Green Gables*), reż. K. Sullivan, Kanada, USA, Niemcy 1985, czas: 199', film familijny.

Ekranizacja słynnej powieści Lucy Maud Montgomery, która od wielu lat zachwyca czytelników. Historia sieroty, trafiającej pomyłkowo na farmę Maryli i Mateusza, dwojga starszych ludzi, którzy postanawiają się nią zaopiekować. Dziewczynka staje się źródłem ich radości i szczęścia.

2. *Antygona* (*Antigone*), reż. S. Deraspe, Kanada 2019, czas: 109', film dla młodzieży i dorosłych.

Film *Antygona* nawiązuje do greckiego dramatu Sofoklesa i jego tytułowej bohaterki, którą stała się współczesna dziewczyna żyjąca w Montrealu. Główna bohaterka walczy o akceptację i szacunek dla siebie i swojej biednej rodziny algierskich emigrantów, żyjących w Kanadzie. Po rozstrzelaniu rodziców w Kabylii dziewczynka wraz z rodzeństwem i babcią żyje w nieprzyjaznej, bogatej, obcej rzeczywistości. W walce o godność wspiera ją babcia, będąca ostoją tradycji i dumy rodziny. Film pokazuje siłę i wierność sobie młodej dziewczyny, która wychowana w nowym świecie nie zapomina, dzięki babci, co jest dla niej najwyższą wartością. Poświęca dla rodziny swoją wolność.

3. *Bella i Sebastian* (*Belle et Sebastien*), reż. N. Vanier, Francja 2013, czas: 164', film familijny.

Adaptacja znanej francuskiej powieści Cecil Aubry. Historia sześciolatniego Sebastiana, który mieszka podczas drugiej wojny światowej razem z dziadkiem w małej francuskiej wiosce w Alpach. Chłopiec zaprzyjaźnia się z górskim psem pasterskim, którego nazywa Bella.

4. *Cały świat Romy* (*Romy's Salon*), reż. M. Kamp, Holandia, Niemcy 2019, czas: 92', film familijny.

Historia kilkuletniej dziewczynki, która po lekcjach spędza czas u babci Stine. Mama samotnie wychowuje córkę i nie może zapewnić jej opieki, ponieważ w tym czasie pracuje. Czas z wymagającą babcią nie jest dla Romy łatwy. Stine poświęca całą swoją uwagę nie wnuczce, ale salownikowi fryzjerskiemu, który prowadzi. Dziewczynka musi zająć się sobą sama. Wszystko się zmienia, gdy babcia zaczyna chorować. Postępujące zmiany w zachowaniu są wynikiem choroby Alzheimera, która paradoksalnie zbliża do siebie wnuczkę z babcią. Roma staje się wsparciem dla starszej kobiety. Role się zmieniają. Teraz ona opiekuje się babcią. Nawiązuje się między nimi szczerą, pełną troski i życzliwości relacja.

5. *Kłamstewko* (*The Farewell*), reż. L. Wang, Chiny, USA 2019, czas: 98', film dla dorosłych.

Gdy rodzina dowiaduje się o chorobie ukochanej babci, postanawia ukryć przed nią informację o jej stanie zdrowia. Pod pretekstem wesela kuzyna cała rodzina zbiera się, by ją zobaczyć i pożegnać.

6. *Kola* (*Kolija*), reż. J. Sverak, Czechy 1996, czas: 105', film dla młodzieży i dorosłych.

Muzyk w trudnych czasach stalinizmu zostaje wyrzucony z filharmonii. Dla poratowania finansów bierze fikcyjny ślub z Rosjanką, która niespodziewanie wyjeżdża do Niemiec, zostawiając mu pod opieką pięcioletniego syna. Chłopiec zmienia codzienność Louki, który niespodziewanie dla samego siebie zaczyna pełnić rolę przybranego ojca.

7. *Lato w Prowansji* (*Avis de mistral*), reż. R. Bosch, Francja 2014, czas: 105', dla młodzieży i dorosłych.



Rodzeństwo z Paryża podczas rozvodu rodziców trafia do dziadków w Prowansji. Świat bez Wi-Fi i zgryźliwy dziadek (Jean Reno) zapowiadają wakacyjny koszmar dla zbuntowanych nastolatków, nierozstających się z elektronicznymi gadżetami. Powoli jednak wzajemna uraza zamienia się w zrozumienie i akceptację, a siła miłości dziadków pomaga zagubionym dzieciakom przetrwać trudny czas.

8. *Minari*, reż. L. I. Chung, USA 2020, czas: 115', film dla dorosłych.

Koreańska rodzina, chcąc zmienić swój poziom życia, wyprowadza się z Kalifornii do Arkansas, by założyć tu farmę. Do opieki nad dziećmi zostaje sprowadzona z ojczyzny babcia, która odbiega swoim zachowaniem od standardowego wizerunku osoby starszej. Jej metody wychowawcze nie podobają się wielu członkom rodziny. Ku zaskoczeniu wszystkich nawiązuje bliską relację z niesfornym sześciolatkiem wnukiem.

9. *Pora umierać*, reż. D. Kędzierzawska, Polska 2017, czas: 104', dla młodzieży i dorosłych.

Bohaterką filmu jest pani Aniela, w którą wcieliła się znakomita Danuta Szaflarska. Starsza, pełna wdzięku pani mieszka samotnie w drewnianej willi razem z psem. Rodzina: syn, synowa i kilkuletnia wnuczka odwiedzają ją sporadycznie i zainteresowani są głównie spadkiem po niej, a nie nią samą. Jest to obraz samotnej starości, w którym nie ma miejsca na życzliwość i serdeczność ze strony rodziny. Refleksyjny, a jednocześnie pełen humoru film o przemijaniu – z zaskakującym zakończeniem.

10. *Sami swoi*, reż. S. Chęciński, Polska 1967, czas: 81', film familijny.

Film przedstawia w zabawny sposób losy dwóch wielopokoleniowych, kresowych rodzin Pawlaków i Kargulów, osiedlających się na Ziemiach Odzyskanych.

11. *Skutki noszenia kapelusza w maju*, reż. K. Krupska-Wysocka, Polska 1993, czas: 79', film familijny.

Wspaniała rola Wiesława Michnikowskiego jako emerytowanego profesora, który prowadzi samotne życie aż do momentu, kiedy postanawia zaopiekować się córkami młodej mamy – Ani. Dziewczynki wprowadzają w jego życie dużo radości, ale również mnóstwo nieprzewidywanych zdarzeń, na które nie zawsze jest gotowy tymczasowy opiekun dzieci.

12. *Wakacje Waltera* (*Secondhand Lions*), reż. T. McCanlies, USA 2003, czas: 111', film familijny. Dziesięcioletni chłopiec zostaje pozostawiony przez nieodpowiedzialną matkę na farmie w Teksasie u ekscentrycznych wujków, Hubiego i Gartha. Pod ich wpływem mały Walter zmienia się. Wspólnie spędzony czas, wraz z magicznymi opowieściami opowydany przez pełnych życia staruszków, zbliża te nieznane sobie wcześniej osoby. Film pokazuje, że różnica wieku nie musi być przeszkodą do zbudowania prawdziwych, trwałych więzi.



AGNIESZKA WOJDYNA

DZIADKOWIE TEŻ GRAJĄ W GRY

Nie ulega wątpliwości, że gry planszowe mogą łączyć pokolenia i gromadzić przy stole zarówno młodszych, jak i tych nieco starszych. Stanowi to niepodważalną zaletę tzw. gier bez prądu, po które sięga coraz więcej rodzin. Dla nowych graczy problemem może być jednak wybór gier i odnalezienie się wśród ogromu propozycji oferowanych przez wydawnictwa. Co wybrać, by zagrały dzieci i młodzież, ale także żeby dobrze bawili się dziadkowie?

Pierwsze skojarzenia wędrują w stronę gier związanych z przeszłością. Rynek gier planszowych oferuje sporo pozycji, które odwołują się do czasów PRL-u, pozwalając na snucie wspomnień i opowieści.

Do najbardziej znanych propozycji w tej kategorii należy wydana przez IPN *Kolejka* (od 2014 wydawana przez wyd. Trefl), w której gracze przenoszą się w realia lat osiemdziesiątych i próbują nabyć potrzebne towary z listy zakupów. Nie jest to jednak proste, gdyż nie wiadomo, do którego sklepu trafią produkty i dla ilu klientów ich wystarczy. Gracze zajmują miejsca w kolejkach, by nie przegapić możliwości zakupu. Muszą jednak wykazać się sprytem, uważać na spekulantów, przepychanki w kolejce czy pomyłki w dostawach. Kluczem do sukcesu jest odpowiednie zagrywanie kart kolejki, dzięki którym można wepchnąć się przed innych, odwrócić kolejkę czy uzyskać towar spod lady. Wszystkie chwytły dozwolone, by osiągnąć najważniejszy cel – zdobyć wszystkie niezbędne produkty z listy zakupów. Gra przeznaczona jest dla 2 do 5 graczy w wieku od 12 lat. Trwająca około godziny rozgrywka jest emocjonująca, a ilustracje na kartach towarów oddają klimat tamtych lat.



Podobne wrażenia oferuje gra *Babciu, dziadku... Jak to wtedy było?*, którą zamówimy, zaglądając na stronę moidziadkowie.pl. Może przy niej zasiąść od 2 do 12 graczy. Zawiera wiele nastrojowych kart, odwołujących się do czasów PRL-u, które mają być podstawą do snucia opowieści. I to właśnie jest głównym celem gry – dzielenie się wspomnieniami i poznawanie historii ro-

dzinnych. Z samego założenia więc gra przeznaczona jest dla całych rodzin, ze szczególnym uwzględnieniem babć i dziadków. W drugiej części rozgrywki gracze odpowiadają na pytania dotyczące wysłuchanych opowieści, a za prawidłowe odpowiedzi zdobywają punkty. Trzeba zatem wykazać się również uważnym słuchaniem i dobrą pamięcią. Zapewne dzieciom trudno byłoby opowiadać historie na podstawie fotografii retro, dobrym rozwiązaniem będzie zatem granie w drużynach, w których starsi opowiadają, a młodszy słuchają i zapamiętują. Niewątpliwie w grze nie chodzi o rywalizację i zwycięstwo, a największą korzyścią i przyjemnością jest poznanie historii z dzieciństwa rodziców i dziadków.

Być może propozycje gier związanych z okresem PRL-u nie każdemu przypadną do gustu. Warto zatem wspomnieć tytuły, które mogą zainteresować starszych, a nie będą nudne dla młodszych graczy.

Rummikub i *Qwirkle* to dwie gry logiczne (dla 2–4 graczy), które przyciągają prostotą zasad i przyjemną rozgrywką. W pierwszej z nich zadaniem gracza jest pozbycie się wszystkich płytek poprzez układanie na stole sekwencji tych samych liczb w różnych kolorach lub ciągów kolejnych liczb w tym samym kolorze. Najciekawszym elementem gry jest przestawianie już ułożonych płytek, by dołożyć kolejne. Układy można dowolnie modyfikować, warunek jest jeden – na koniec tury gracz musi zostawić na stole przynajmniej 3-elementowe ciągi i sekwencje ułożone zgodnie z zasadami. Jest to niesamowicie wciągająca łamigłówka, która spodoba się graczom w każdym wieku!

Podobnie *Qwirkle*, lekka i przyjemna gra, w której układamy płytki z kolorowymi symbolami, by zdobyć jak najwięcej punktów. Zasady są bardzo proste – należy układać ciągi zawierające różne symbole w tym samym kolorze lub ten sam symbol w różnych kolorach. Żeby wygrać, trzeba wykazać się spostrzegawczością i dobrą strategią, gdyż punkty zdobywamy za każdą płytkę w ciągu, do którego dołożyliśmy nową. Bez wątpienia pokochają ją dziadkowie, a rywalizacja z wnukami przyniesie im wiele radości.



Gra Rummikub. TM Toys



ANNA NIEMIRA-JUREK

ŚRODKOWE POMORZE

– WAKACJE, KTÓRE NIE MIAŁY PRAWA SIĘ UDAĆ

Jadąc nad morze, spodziewamy się, że nasze dzieci oddadzą się bez reszty uciechom w tej wielkiej piaskownicy, jaką są polskie plaże, a my w spokoju poczytamy albo popatrzymy w bezkres fal. I nikt nie będzie wołał co chwilę: „Mama! Tata!”, bo każdy zajmie się robieniem swojego zamku. Tak zakładaliśmy, wybierając dość spokojne i oddalone od wielkich miast okolice Ustki. Nic jednak nie poszło zgodnie z planem, a mimo to minione wakacje możemy zaliczyć do udanych. Właśnie dlatego polecam Pomorze Środkowe na wyjazdy z dziećmi.

Przygotowania i plany

Zbierając informacje o Pomorzu Środkowym, planowaliśmy z grubsza kilka atrakcji: kąpiel w morzu (wiadomo!), odwiedzenie regionalnego muzeum, żeby pokazać dzieciom dawne sprzęty i zabudowania, zabawy na świeżym powietrzu (do samochodu zmieściły się nie tylko trzy piłki, ale jakimś cudem także rower). Poza tym w rozkładzie mieliśmy muzeum Witkacego w Słupsku, wizyty w kilku zabytkowych kościołach i w pałacu Gryfitów. Na papierze wygląda to dość imponująco.

Co się nie udało

Dzieci w ramach swojej wrodzonej (po kim odziedziczonej? – pytam czasem ich ojca) przekory oświadczyły jednak już pierwszego dnia, że nie będą kąpać się w morzu, bo jest zimne i ma fale. I takie glony zielone. Drugiego dnia padało. Trzeciego był SOR, czwartego szerszenie, piątego padało, szóstego zamiast Witkacego oglądaliśmy muzealny kącik zabaw i zagryzaliśmy wargi w bezsilnej złości. Siódmego i ósmego padało... Reszty naprawdę nie pamiętam.

Wakacje nad morzem, każdy dłuższy wyjazd z dziećmi, to dla rodzica próba sił, test cierpliwości (nie ma takiego prymusa, który by go zaliczył), tor przeszkód, labirynt pełen wyzwań, seria przebiegłych pułapek i, nierzadko, krwawa łaźnia lub zupełnie niemetaforyczna gorączka sobotniej nocy przez trzy dni z rzędu. Dobrze miejsce na wyjazd, dziś piszę to z pełną świadomością, można poznać po tym, że jest miło MIMO WSZYSTKO. Dlatego zapraszam Państwa w okolice Ustki!



3 Festiwal EtnoBaltica, Swołowo 2021



Co się udało i dlaczego wrócimy

Wielką zaletą okolic Ustki i Słupska jest płaski krajobraz – idealny na rowerowe wycieczki (także na rowerze biegowym) i spacery nawet z takimi wędrowcami, którzy jeszcze słabo chodzą. Im dalej od samego morza (już kilka kilometrów w głąb lądu), tym bardziej puste drogi i mniej turystyczne wsie pełne budynków z pruskiego muru.

Sama Ustka wita turystów dwiema przyjaznymi, piaszczystymi plażami – jedną tuż obok deptaka, przy przyjemnej promenadzie z rozbudowaną infrastrukturą pamiątkowo-gofrową, drugą – zachodnią – oddaloną nieco, ale z doskonałym podejściem, mniej uczęszczaną i zdecydowanie spokojniejszą.

Na tych, których męczy gwar i pewna nadpodaż rozrywki znana z Łeby, Mielna czy Władysławowa, Ustka będzie działała kojąco. To oczywiście miejscowość nadmorska ze swoimi wadami i zaletami, ale też przede wszystkim niewielkie, spokojne miasto z miłą i nie bardzo pstrokatą promenadą Marynarki Polskiej. W porcie nie jest tłoczno: spragnieni rozrywki mogą przepłynąć w głąb morza jednym ze statków wycieczkowych (przed piracką galerią ostrzegam jednak tych wszystkich, których nie bawią żarty z teściowej i inne kawały z brodą), zagrać w cymbergaja w bocznej uliczce albo wejść do jednego z turystycznych, tymczasowych muzeów.

Gastronomicznie, zwłaszcza z dziećmi, Ustka zdecydowanie staje na wysokości zadania – oprócz dorsza z frytkami i gofrów ze śmietaną zjemy tu w jednej z trzech cukierni Mistrza lokalne krówki, lody i desery. Znajdziemy normalne restauracje (w nadmorskich miejscowościach nie jest to tak oczywiste, jak można by oczekiwać) z cenami, które nie zwalają z nóg. W Bryzie cofniemy się nieco w czasie, ale nakarmimy wszystkie głodne żołądki klasycznym menu baru mlecznego. Nic dziwnego, że na molo, w porcie i wśród rybackich domków częściej spotyka się tu rodziny niż rozbawioną młodzież (która też ma swoje miejsce pod słońcem, wszyscy pamiętamy, skąd przychodzimy!).

Na koniec jeszcze słowo o okolicach Ustki – nieszczęsnym Słupsku, w którym widać ślady dawnej wielkości, a który po wojnie padł ofiarą architektonicznego barbarzyństwa; Swołowie, w którym znajduje się muzeum regionalne, a także odbywa się [EtnoBaltica](#) – festiwal twórczości ludowej z potańcówkami, warsztatami i doskonałą strefą dla dzieci; Pęplinie, w którym można kupić miód słodki jak... miód czy Starkowie z [Muzeum Śledzia](#). Wszystkie te miejsca warte są odwiedzenia, poświęcenia chwili na miłe spacerowanie, dobre jedzenie i beztroską zabawę. O to przecież chodzi w wakacjach. Nawet wtedy, kiedy zamiast Witkacego jesteśmy zmuszeni oglądać tylko malarskie impresje naszych latorośli.



Średniowieczne robótki ręczne, fot. K. Sobczyk-Kado

KAROLINA STRUGIŃSKA

RE-KONSTRUKCJA W RUCHU

„Harcerstwo+?”

Dokoła unosi się zapach dymu i siana rozesyłanego w namiotach. Nad ogniskiem bulgocze strawa, przyjemnie wierząc w nosach przechodniów (zapewne dużo cebuli i brukwi... a może tym razem pyszny żur?). Przed jednym z namiotów dwie dziewczyny zawzięcie „walczą” ze splątaną wełną, rozczesując ją smukłymi palcami (na pewno jeszcze tego wieczora ulegnie w ich dłoniach jakiejś twórczej metamorfozie – stając się niezbędnym elementem garderoby lub piękną ozdobą). Dwie inne splatają wianki z zerwanych wcześniej polnych kwiatów. Na drewnianej ławie pod wiatą grupka rozmówców żarliwie nad czymś debatuje, zagryzając trafne słowa mięsivem, popijany zawartością glinianych kubków. Raz po raz rozlega się rubaszny śmiech i gromkie: „chwała mu!”. Gromadka piszczących dzieciaków bawi się w ganianego – robiąc rwetes, to podbiegają, to zbiegają ze wzgórza, nad którym króluje ruiny zamku oświetlone zachodzącym słońcem. Kilku starszych chłopców urządziło sobie turniej – w skupieniu i ciszy członkowie jednej drużyny starają się zbić rzucanym z daleka kołkiem drewniane figurki „żołnierzy” przeciwnej drużyny, tak by przy tym nie stracić stojącego pośrodku placu „króla”. Z oddali dobiegają dźwięki strun i cicho nuconej pieśni. Z budki wartownika wyglądają dwie chmurne twarze, uważnie przeczesując oczyma okolicę. Sielsko. Spokojnie. Blisko natury...

Można by pomyśleć, że ktoś realizuje projekt pod nazwą „Harcerstwo+”. Ale to nie to! Bo może być i tak: świst przelatujących pocisków, coraz bliższy odgłos wystrzałów. Szybki przemarsz grupki ubłoconych żołnierzy. Za chwilę przesywający powietrze krzyk: „Do ataku!”. Przeróżliwy huk amunicji, ciepło wybuchu rozlewające się po twarzach wszystkich wokół i swąd spalenizny. Drżąca pod stopami ziemia, której fragmenty wirują przez chwilę ponad wielką czarną bruzdą. Umundurowane ciała rozrzucone po murawie. Tętent koni w oddali. Tupot sanitariuszek z noszami. Ich nieskazitelnie białe fartuchy z czerwonym krzyżem pośród całego tego chaosu, grozy, nędzy. Jęki rannych. Wcielona apokalipsa...

Czyżby czas zniechęcony nierealnym niebieskawym blaskiem wszędobylskich ekranów wrócił do miejsc i momentów prawdziwszych, bardziej namacalnych, ważniejszych? Nie, on nieubłaganie płynie dalej, pozostawiając z każdej chwili bagaż doświadczeń i refleksji. Ale wielu jest takich, którzy chcieliby go zawrócić. Próbują to zrobić – i czasami prawie im się udaje. To „rekoni”.

Zjawisko rekonstrukcji historycznej (w slangu rekonów po prostu „reko”) ma całkiem długą historię. W Polsce można datować ją od okresu zaborów, gdy zaczęto reaktywować średniowieczne bractwa kurkowe i zakładać towarzystwa strzeleckie, służące manifestacji przywiązania do narodowej kultury i historii. W latach 60. XX w. w naszym kraju, podobnie jak na całym świecie, zaczęły formować się pierwsze niewielkie grupy skupiające pasjonatów. W 1977 r. miały już miejsce dwie masowe imprezy z udziałem rekonstruktorów: I Turniej Rycerski w Golubiu-Dobrzyniu i I Złot Miłośników Kultury Indian. Po upadku komunizmu rekonstruktorzy zyskali dużo większą swobodę – mogli otwarcie prezentować swe zainteresowanie Armią Krajową, wojennymi militariami, działalnością formacji niepodległościowych... Obecnie najchętniej rekonstruowane przez Polaków okresy historyczne to średniowiecze, II i I wojna światowa, ale liczne są także formacje prezentujące realia XVII w. i epoki napoleońskiej, życie Słowian, wikingów, rzymskich legionistów, uczestników powstania listopadowego, styczniowego lub warszawskiego.

Obecnie w kraju funkcjonuje co najmniej **458 grup rekonstrukcji historycznej** (w skrócie: GRH), ale liczba ta może być w rzeczywistości nawet dwukrotnie wyższa, ponieważ nie wszystkie tego typu zgrupowania przyjmują formę stowarzyszeń czy organizacji. Szacuje się, iż w ruch rekonstrukcyjny zaangażowanych jest niemal 10000 Polaków. W ciągu jednego roku organizują oni ponad 300 wydarzeń o charakterze historycznym – pokazowym lub edukacyjnym, najczęściej towarzyszących obchodom ważnych świąt państwowych lub lokalnym wydarzeniom kulturalnym.



Odpoczynek na sianku, fot. R. Strugiński

Zasięg tych eventów bywa bardzo różny. W uroczystych obchodach kolejnych rocznic grunwaldzkiej batalii bierze udział wielotysięczny, wielonarodowościowy tłum, ale sława wielu przedsięwzięć nie wychodzi poza opłotki danego miasta lub powiatu. Jednak zarówno te drobne historyczne spotkania opierające się na skromnych przemarszach osób w historycznych strojach czy inscenizacjach epizodów z lokalnej historii, jak i głośne turnieje rycerskie, ściągające międzynarodowe grono uczestników i obserwatorów, a także rekonstrukcje bitew II wojny światowej – wszystkie te formy prezentowania przeszłości zyskują z dnia na dzień coraz większą popularność.

Rekonstrukcja czyli od-twarzanie

Zjawisko realistycznego przedstawiania dawnych wydarzeń, strojów i przedmiotów codziennego użytku zwykle bywa nazywane odtwórstwem historycznym, ale także nurtem „żywej historii” czy „**turystyką historyczną**”. Rekonstrukcja historyczna ma w sobie wiele z zabawy, teatru i... nauczania. Łączy teorię, zmysłowe wrażenia i praktyczne umiejętności z dużą dozą emocji, do-

świadczyli zarówno przez tych, którzy historię próbują odtwarzać, tłukąc się mieczami lub celując do siebie ze stenów, jak i tych, na których opada bitewny kurz jako na biernych obserwatorów – uczniów. Jednak – jak potwierdzają [weterani odtwórczych przedsięwzięć](#) – „wiedza na temat historii odtwarzanej epoki to podstawa dobrej rekonstrukcji. Trzeba lubić historię i lubić się ciągle jej uczyć!”.

Celem odtwórstwa jest „zrekonstruowanie” konkretnych zdarzeń z przeszłości lub wybranych aspektów życia w danym okresie historycznym z wykorzystaniem odpowiednich ubiorów i artefaktów (oryginalnych lub wytworzonych współcześnie z surowców jak najbardziej zbliżonych do historycznych). Ważne są zatem nie tylko stroje i militaria, ale także biżuteria, naczynia, meble. Wykorzystywane przez rekonstruktorów przedmioty muszą być zgodne z przekazami ze źródeł historycznych, toteż bardzo często rekonstruują się w lekturę starych rękopisów – kodeksów, eposów, kronik, tekstów religijnych. Wielu podpowiedzi na temat realiów codziennego życia w dawnych epokach dostarcza im także literatura i ikonografia (iluminacje w księgach, miniatury, freski, obrazy, drzewo- i miedzioryty), a tym, którzy odtwarzają bliższe nam okresy – pamiętniki, przekazy prasowe, dokumenty życia codziennego, takie jak listy, fotografie... Jednak i przy najlepszych intencjach nie da się w tym „odtworzeniu” uniknąć łączenia historyczności z mentalnymi i materialnymi realiami XXI w. – stąd chociażby współczesne dowcipy w ustach rzymskiego legionisty, pomalowane paznokcie u słowiańskiej dziewczeczki na Ślęży, elektroniczny zegarek na nadgarstku żołnierza I Brygady czy kalosze pod średniowieczną suknią na grunwaldzkim polu po kilkudniowym deszczu...



Błazen Ruphus-Raphus na „Kramach Inowłodzkich”,
fot. R. Strugiński

Dzielność i samodzielność

Z rekonstrukcją nie ma żartów! Każdy członek grupy rekonstrukcyjnej musi samodzielnie zdobyć i skompletować potrzebny ekwipunek – zależnie od odtwarzanego okresu i specyfiki postaci może to być zbroja rycerska, strój cywilny, umundurowanie, uniform danej grupy zawodowej... Na ile „koszerne” (tu czytaj jako: zgodne z dostępną wiedzą historyczną i ikonograficznymi przedstawieniami) są perły na szyi XIV-wiecznej damy? Czy nałęczka musi być jedwabna, czy może być z bawełny? Ile metrów granatowego sukna potrzeba na uszycie munduru żołnierza Legionów Polskich? Czy w menażce powstańca warszawskiego może się znaleźć kawałek schabu, czy tylko marmolada z buraków? – to wszystko dylematy mogące spędzać sen z oczu rekonstruktorom... Łatwo popaść w niełaskę rekonstrukcyjnej braci czy stać się obiektem kpin zgromadzonej na imprezie publiczności, jeśli popełnimy historyczne *faux pas*. A nikt nie chce „plamy na honorze”, każdy rekonstruujący pragnie osiągnąć profesjonalny poziom w swym odtwórstwie!

A poza tym: ile to wszystko będzie kosztowało? Reko nie jest tanim hobby! Dlatego bardzo często gromadzenie ekwipunku trwa latami. O ile nie jest sztuką sprepować prostą lnianą suknię, to nabycie repliki uzbrojenia może okazać się skomplikowane – i drogie. Koszt hełmu dla średniowiecznego rycerza to ok. 600 zł, pełne uzbrojenie husarza może kosztować nawet kilkanaście tysięcy zł, a płaszcz oficerski ok. 1300 zł. Jeśli jakiś „sarmata” chciałby prócz pysznego

żupana, kontusza, pasa oraz militariów zdobyć i konia... to konia z rzędem temu, kto podoła finansowo takiemu przedsięwzięciu! Ale... satysfakcja gwarantowana.

Najważniejsze jednak, że bardzo pożądane jest samodzielne „obszycie się” – zaprojektowanie, a nawet wykonanie przez rekonstruktora poszczególnych elementów własnego wyposażenia. A to skłania do niebywałej kreatywności w pozyskiwaniu surowców, motywuje do wzięcia w dłoń igły i nici, skóry i dratwy, młotka i gwoździ... Dzięki ruchowi rekonstrukcyjnemu nie ulegają zapomnieniu dawne zawody, takie jak kaletnictwo, garbarstwo, garncarstwo, odlewnictwo. Odżywa moda na ręczny haft. Pojawia się zainteresowanie słowiańską i staropolską sztuką kulinarną – krążyć zaczynają przepisy na smaczne, w 100% naturalne potrawy. A towarzyszy temu ruch na świeżym powietrzu i nieunikniony wysiłek fizyczny. Aż dziw, że to wszystko raduje leniuchów z XXI w., rozpieszczonych masową dostępnością wszystkiego!

Materialna warstwa rekonstrukcji to jednak nie koniec! Z poznawaniem konkretnej epoki idzie w parze przywiązanie do wartości wyznawanych przez jej bohaterów. Osoby rekonstruujące wydarzenia II wojny światowej często utożsamiają się z etosem „żołnierzy wyklętych”, polscy rycerze przyjmują – i to w całkiem sformalizowanej formie – zasady postępowania zgodne ze średniowiecznym kodeksem. Uogólniając, można stwierdzić, że grupy rekonstrukcyjne przyczyniają się nie tylko do szerzenia obyczajowości typowej dla odtwarzanej epoki, ale kształtują swe praktyki w oparciu o wartości takie jak: honor, odwaga, patriotyzm, poczucie własnej godności, szacunek dla słabszych i bezpardonowość w walce z równymi sobie.



Rekomama z maluchem, fot. GRH „Gawra”



Rekotata z synem Witem, fot. M. Józwiak

Dla starego i młodego

Jednym z walorów działalności rekonstrukcyjnej wydaje się jej wielopokoleniowy charakter. Przekrój wiekowy w środowisku rekonów jest szeroki. Jak mówi [Hetman Polny](#) Rycerstwa Polskiego (działający w ruchu już ponad 25 lat): „Nasi koledzy przekroczyli siedemdziesiątkę. Najmłodsi – to nasze dzieci”. Podczas rozmaitych wydarzeń i zjazdów nie sposób nie zauważyć,

że rekonstrukcyjna działalność to najczęściej „sport rodzinny”. Zainteresowani historią rodzice włączają do udziału swe dzieci. Małżonkowie wzajemnie zarażają się pasją, nawiązują wspólne znajomości, przyjaźnie, wspólnie przyjeżdżają na zgrupowania i pomagają sobie w zdobyciu niezbędnego wyposażenia.

Nierzadko dziadek, który rekonstruuje dawne rzemiosło – np. prezentując warsztat kowalski czy garncarski, uczy wnuka swego fachu. Stara zielarka zdradza dziewczętom tajniki naturalnych kosmetyków i barwników. „Rekonstrukcyjne” dzieci od małego przyswajają sobie w naturalny sposób nie tylko wiadomości, którymi operuje ich rodzina, ale także określony styl spędzania czasu i wiele praktycznych umiejętności. W średniowiecznym obozowisku każdy maluch ma nie tylko kontakt z akcesoriami woja czy rycerza i okazję, by potrenować władanie mieczem (na początek piankowym – nie żelaznym!), dzięki czemu szybko rozróżnia przesywanicę od kolczugi, a kapalin od psiego pyska (rodzaje hełmów). Uczy się także szycia, haftu, plecienia sznurów na lucetce czy krajek na bardku, produkcji lalek z gałganków czy motanek, strugania z drewna, gotowania na ognisku, pieczenia podplomyków... To wspaniała przygoda, ale także nieustanny przekaz wiedzy. Przestrzeń, w której młody człowiek może docenić praktyczne umiejętności starszych i właściwie oszacować w tym kontekście własne – niekiedy przede wszystkim „elektryczne” kompetencje. Nic więc dziwnego, że w rekonstrukcyjnych spotkaniach licznie biorą udział przedszkolaki, młodzi rodzice zabierają pod namiot nawet niemowlęta, które od małego swobodnie doświadczać świata – a w ich wychowaniu udział bierze „cała wioska”.



Lekcja kaligrafii w średniowiecznym obozowisku, fot. R. Strugiński

Akcja – interakcja – edukacja

Wydarzenia organizowane z udziałem rekonstruktorów cieszą się popularnością w środowisku edukacyjnym. Coraz częściej są oni zapraszani do szkół, gdzie organizują pokazy stroju i broni, opowiadając o dawnych czasach, prowadzą „lekcje żywej historii”. Miejsca tworzone lub objęte opieką GRH stają się celami szkolnych wycieczek (np. [Jomsborg](#) – warszawska warownia wikingów) oraz przestrzenią organizacji tematycznych obozów dla młodzieży (np. [gród rycerski w Byszynie](#)). Rekonstrukcyjna oferta edukacyjna podlega analizie na gruncie pedagogiki i przez wielu badaczy bywa dowartościowywana jako forma skuteczniejsza i bardziej atrakcyjna niż typowo szkolny przekaz. Inni traktują odtwórcze inscenizacje raczej jako formę rozrywki niż rzetelne źródło wiedzy.

Odtwarzaniu na każdym kroku towarzyszy na wskroś współczesny komentarz. Jednak bez względu na to dynamiczny charakter rekonstrukcyjnego przekazu – pełen ruchu, barw, smaków, zapachów, interakcji widzów z odtwórcami (a więc polisensoryczny) może przeciętnemu uczniowi zapaść w pamięć

dużo bardziej niż „suchy” tekst przeczytanej książki. Nasza dzisiejsza wiedza z zakresu neurodydaktyki – pouczającej, w jaki sposób najskuteczniej uczy się ludzki mózg – pozwala stwierdzić, że udział w rekonstrukcji (zarówno bierny – w roli widza, jak i czynny – w roli odtwórcy) pod względem edukacyjnym oszacować należy wysoko.



Słowiańskie gotowanie, fot. GRH „Gawra”



Kram kuchnia średniowieczna, fot. T. Jóźwiak

Nie ulega wątpliwości, że działalność rekonstrukcyjna to warta wypróbowania propozycja – nie tylko odwracania w wolnym czasie jego biegu, od-twarzania historycznych realiów, ale także tworzenia złożonych realiów rodzinnych, przyjacielskich relacji, świadomego swej przeszłości społeczeństwa. Nic nie stoi na przeszkodzie, by dołączyć do grona rekonów!

A jeśli nie czujemy się dobrze, gdy inni podziwiają nasz niecodzienny strój i narzędzia, zawsze możemy „rekonstruować” z bezpiecznego dystansu – najlepiej od razu poszukać w internecie kalendarza imprez historycznych odbywających się w najbliższej okolicy albo połączyć wyprawę w przeszłość z podróżą w przestrzeni, by zobaczyć na żywo turniej rycerski na zamku w Gniewie czy Łęczycy, kupić rękodzieło lub trunki na kramach w Inowłodzu, posłuchać słowiańskich śpiewów na wyspie Wolin, czy też wziąć udział w oblężeniu Malborka. Na niektóre z wydarzeń, odbywające się cyklicznie, być może trzeba będzie poczekać (potyczki z Krzyżakami raczej tylko w lipcu...), ale nie ma się czym martwić: sezon rekonstrukcyjny trwa praktycznie cały rok!



Kociołki, fot. GRH „Gawra”

LUDZIE LISTY PISZĄ...



Dzień dobry!

Jestem żoną, matką trójki dzieci. Pracuję jako neurologopeda w Poradni Logopedycznej PZG oraz w szkole podstawowej. Pragnę podziękować za treści przekazywane na łamach Waszego czasopisma, dzieląc się jednocześnie kilkoma refleksjami.

Do jakże oczywistych spraw, działań trzeba zachęcać! I to kogo? Dorosłych, bo zapomnieli? Wychowujemy – to trochę jak oddychajmy, lub podlewajmy kwiaty - bo zwiędną. Istotnie wydaje się, że trochę to wychowanie nam, dorosłym, umknęło. Zapomnieliśmy, że nie „dzieje się” samo. Wychowawcę: rodzica, dziadka, nauczyciela, osobę dorosłą można by porównać do przewodnika na szlakach górskich. Przewodnik, doświadczony, wyszkolony, odpowiedzialny nie powie nigdy: „No, w drogę, idziemy, jak chcemy – kto dojdzie, ten dojdzie”.

Kiedy mówię na spotkaniach do rodziców: „Pamiętacie, gdy w czasie oczekiwania na dziecko szukaliście informacji, jak rozwija się małeństwo w pierwszym, drugim, trzecim... miesiącu ciąży. Jakie to było ciekawe! A dziś kto z państwa czytał, dowiadywał się, jak przebiega rozwój psychofizyczny waszego 5-, 6-, 7-, 12-letniego dziecka?” – zapada trudna, wymowna cisza. Rodzice spuszczają wzrok, patrzą w okno. Nie czekam oczywiście na odpowiedzi, tylko pytam dalej: „To nie interesują was wasze dzieci? A wiecie, o czym myślę, czego się boją, kogo w klasie nienawidzą i za co? Czy tak samo często zaglądacie do pokoju dorastającego syna, córki jak na Facebooka”? Czy dając dziecku niemal wszystko to co materialne, jesteśmy pewni, że dajemy to, co najważniejsze?

Ogromna ilość małych dzieci nie zna bajek, piosenek, wyliczanek, rymowanek, wierszy. Niektóre nigdy nie grały w gry planszowe. Doskonale posługują się za to smartfonem, o czym świadczy fakt, że ich palcem wskazującym jest kciuk. Maluchy trafiają do szkół z opóźnionym rozwojem mowy. Borykają się z zaburzeniami oddychania, żucia i połykania. Nieprawidłowo siedzą przy stole. W dowolnych pracach plastycznych rysują najczęściej postacie z gier komputerowych. Podchodzą w czasie przerwy między lekcjami do dyżurujących nauczycieli i mówią: „Nudzi mi się, chciałbym pograć”.

Przez myśli i usta rodziców przechodzą słowa: „No, szkoła cię wychowa”. A szkoła? Czy priorytetem jej zadań jest na pewno wychowanie? „Dawniej – pisze profesor Zbigniew Tarkowski – każdy nauczyciel był jednocześnie wychowawcą. Nie tylko nauczał, ale i wychowywał. Obecnie stał się «przedmiotowcem» odpowiedzialnym jedynie za efekty nauczania”, które są analizowane w czasie rad pedagogicznych. Szkoły w coraz to większym stopniu borykają się z trudnościami wychowawczymi. Rośnie ilość dzieci i młodzieży z zaburzeniami zachowania. Proste jeszcze niedawno zdania skierowane do ucznia, takie jak: „Usiądź prosto, nie klnij, zmyj makijaż” – nie są już wdrażaniem elementów kultury, dobrego wychowania, ale są zamachem na wolność młodego człowieka (...).

Jak wychować dziecko, przed którym drży zarówno nauczyciel, jak i rodzic? (...) „WychowujMy!” – brzmi jak wezwanie do działania w słusznej sprawie. Wszyscy dorośli – musimy je podjąć.

Z wyrazami szacunku

Katarzyna Dzedzej

Noty o autorach



Jacek Banaś – nauczyciel, etyk; zastępca dyrektora Departamentu Kształcenia Ogólnego MEiN, ojciec czworga dzieci.

Bogna Białecka – psycholog, prezes Fundacji Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii, autorka książek i poradników, redaktor portalu dla młodzieży www.pytam.edu.pl i portalu dla rodziców www.rodzice.co.



Małgorzata Gasik – specjalistka ds. promocji i informacji pedagogicznej Mazowieckiego Samorządowego Centrum Doskonalenia Nauczycieli Wydział w Płocku, koordynatorka projektów edukacyjnych.

Aleksandra Gil – certyfikowany trener profilaktyki zdrowia psychicznego. Autorka materiałów o rodzinie, wychowaniu oraz kształtowaniu postaw prospołecznych. Redaktor portalu dla młodzieży www.pytam.edu.pl Tylko prawda jest ciekawa oraz portalu dla rodziców www.rodzice.co.

Katarzyna Głowacka – doradca rodzinny, tłumacz; wraz ze Wspólnotą Emmanuel współtworzy program dla rodzin Miłość i Prawda, autorka bloga, mama piętki dzieci i babcia dwojga wnucząt.

Artur Górecki – dr historii, teolog, publicysta; wykładowca, nauczyciel i dyrektor szkół; propagator edukacji klasycznej; dyrektor Departamentu Programów Nauczania i Podręczników MEiN.

Izabela Jurek – polonistka, redaktorka, mama trojga dzieci i babcia pięciorga wnuków.

Beata Kozyra – nauczyciel edukacji wczesnoszkolnej, polonista, konsultant metodyczny, edukacyjny, autor scenariuszy do lekcji filmowych, autorka podręczników.

Henryk Krzyżanowski – dr filologii angielskiej, nauczyciel akademicki, wieloletni autor arkuszy do Olimpiady Języka Angielskiego, poeta, satyryk.

Paweł Milcarek – dr filozofii, publicysta, założyciel i redaktor naczelný kwartalnika „Christianitas”.

Małgorzata Nawrocka – pedagog, dziennikarka oraz autorka kilkudziesięciu książek, scenariuszy teatralnych i podręczników szkolnych.

Anna Niemira-Jurek – redaktorka materiałów branżowych i edukacyjnych, a także scenariuszy gier. Mama trojga dzieci.

Renata Nowak – nauczyciel, pedagog, psycholog, socjoterapeutka.

Małgorzata Pęska-Salawa – psycholog kliniczny z 40-letnią praktyką w zawodzie w placówkach służby zdrowia i oświatowych, prowadzi także gabinet psychologiczny dla dorosłych i dla dzieci.

Patrycja Przybysławska – polonistka, redaktorka, mama trojga dzieci.

Alicja Ruczaj – polonistka, od 18 lat nauczycielka Zespołu Szkół Urszulańskich w Poznaniu, autorka artykułów prasowych na temat książek dla dzieci.

Marta Strugała – absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, urzędnik MEiN.

Karolina Strugińska – dr nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, nauczycielka języka polskiego, redaktorka, publicystka, mama trojga dzieci.

Agnieszka Wojdyna – logopeda, nauczycielka języka polskiego, znawczyni i kolekcjonerka gier planszowych.

Katarzyna Wozińska – psycholog, dyrektor ośrodka Centrum Słowo – Psychologia z duszą, żona i mama czworga dzieci.

Anna Zalewska – koordynator działalności edukacyjnej i wydawniczej Fundacji Servire Veritati Instytut Edukacji Narodowej, mama dwóch synów.

WYCHOWUJMY! Dwumiesięcznik poświęcony wyzwaniom współczesnego wychowania

Wydawca: Ośrodek Rozwoju Edukacji

Redakcja: Radosław Brzózka, Bogna Białecka, Artur Górecki, Izabela Jurek,
Patrycja Przybysławska, Marta Strugała, Karolina Strugińska, Anna Zalewska

Wsparcie techniczne: Agnieszka Brodowska

Skład: Paweł Jaros

Adres redakcji: www.wychowujmy.pl

ISSN: ISSN 2720-2003

Niniejszy numer czasopisma został przygotowany z dbałością o realizację standardu WCAG 2.1., dlatego w odróżnieniu od wielu pism ma jednokolumnowy łam. Dzięki temu jest w pełni dostępny i mogą się z nim zapoznać osoby ze szczególnymi potrzebami, także używające czytników ekranowych.

Zdjęcia wykorzystane w numerze pochodzą:

- a) ze źródeł internetowych: © Deklofenak/Photogenica (s. 1), © NatashaFedorova/Photogenica (s. 3), © Artmim/Photogenica (s. 5, 21), © anatoliycherkas/Photogenica (s. 6), © AntonioGuillemF/Photogenica (s. 7), © kolinko_tanya/Photogenica (s. 8), © anabgd/Photogenica (s. 10), © VaDrobotBO/Photogenica (s. 11), © Kuzmafoto/Photogenica (s. 12), © peus/Photogenica (s. 14), © Aleutie/Photogenica (s. 16), © ilona75/Photogenica (s. 18), © DarioStudios/Photogenica (s. 20), © HayDmitriy/Photogenica (s. 23, 35, 56), © A3pfamily/Photogenica (s. 24), © Katerina_Dav/Photogenica (s. 25, 45), © Maryna_Andrejchenko/Photogenica (s. 26), © mjth/Photogenica (s. 27), © IconicBestiary/Photogenica (s. 28), © alebloszka/Photogenica (s. 30), © speedo101/Photogenica (s. 31 góra), © pressmaster/Photogenica (s. 31 dół, s. 49), © belchonock/Photogenica (s. 32 góra), © sofiiashunkina/Photogenica (s. 32 dół), © romanchazov27/Photogenica (s. 33 góra), © romrodinka/Photogenica (s. 33 dół), © IgorVetushko/Photogenica (s. 34), © zentilia/Photogenica (s. 37), © scanrail/Photogenica (s. 38), © mychadre77/Photogenica (s. 39), © wjarek/Photogenica (s. 40), © rparys/Photogenica (s. 42), © brebca/Photogenica (s. 44), © volkovich_a /Photogenica (s. 46), moidziadkowie.pl (s. 53 dół, s. 58 góra), © evgenyataman/Photogenica (s. 55), © TTstudio/Photogenica (s. 60), © minervastock/Photogenica (s. 68);
- b) ze zbiorów: Fundacji *Servire Veritati* Instytutu Edukacji Narodowej (s. 9), Ośrodka Rozwoju Edukacji (s. 9), Wydawnictwa św. Wojciech Dom Medialny sp. z o.o. (s. 36), Instytutu Prymasowskiego (s. 42), Wydawnictwa Zysk i S-ka (s. 51), Wydawnictwa Dwie Siostry (s. 53), Wydawnictwa Literatura (s. 53 góra); Wydawnictwa Replika (s. 53 środek); Wydawnictwa Trefl S.A. (s. 58), TM Toys sp. z o.o. (s. 59), Centrum Kultury i Biblioteki Publicznej Gminy Słupsk (s. 61), Katarzyny Sobczyk-Kado (s. 62), Radosława Strugińskiego (s. 63, 64, 66), Marzeny Jóźwiak (s. 65, 67), GRH „Gawra” (s. 65, 67) oraz archiwum prywatnego Katarzyny Głowackiej (s. 43).

Zamów bezpłatną prenumeratę!!!

Przez formularz zgłoszeniowy na stronie www.wychowujmy.pl
albo mailem: redakcja@wychowujmy.pl



SZCZEPIENIA UCZNIÓW W WIEKU 12-18 LAT

– REKOMENDACJE DLA RODZICÓW



Zadbaj, aby Twoje dziecko wyspało się przed szczepieniem

– sen korzystnie wpływa na działanie układu odpornościowego.



Zachęć dziecko do aktywności fizycznej przed szczepieniem

– ćwiczenia poprawiają sprawność organizmu.



Dopilnuj, aby dziecko nie było na czczo przed przyjęciem szczepionki

– w dniu szczepienia dziecko może normalnie zjeść pełnowartościowe posiłki.



Nie odstawiaj samodzielnie przed szczepieniem leków, które regularnie przyjmuje Twoje dziecko

– kwestia ta powinna być skonsultowana z lekarzem.



Rzetelnie wypełnij kwestionariusz przed szczepieniem

– kluczowe jest przekazanie wszystkich informacji o stanie zdrowia dziecka.



Pamiętaj, aby dziecko po wykonanym szczepieniu odczekało w punkcie min. 15 minut

– to ważne dla jego bezpieczeństwa.



Nie obawiaj się niepożądanych odczynów poszczepiennych u swojego dziecka

występują one rzadko i najczęściej mają łagodny przebieg. Objawy takie jak zaczerwienienie w miejscu wkłucia lub niewielka gorączka zazwyczaj ustępują w ciągu 1-3 dni. W przypadku większego dyskomfortu należy skontaktować się z lekarzem.

RODZINA

KULTURA

WARTOŚCI

ROZWÓJ



WYCHOWUJMY!

DOROŚŁYM O DZIECIACH*Zaplanujmy razem
jak wychowywać!*

Dwumiesięcznik "WychowujMY!" oraz portal www.wychowujmy.pl mają za zadanie służyć pomocą wszystkim rodzicom, dziadkom i wychowawcom zatroskanym o pełny, harmonijny rozwój młodego pokolenia.

Odpowiadając na pytanie: "Jak wychowywać?", autorzy inspiracje czerpać będą ze sprawdzonej klasycznej pedagogiki, która pozwala oprzeć proces wychowania na solidnych fundamentach - na zdrowym rozsądku i doświadczeniu codziennego życia.

W czasopiśmie znajdują się działy poświęcone rozwojowi dzieci - ich funkcjonowaniu w życiu rodzinnym, rówieśniczym i szkolnym, ze szczególnym uwzględnieniem świata mediów. Przybliża ono także dorobek wielkich wychowawców oraz prezentuje, co ciekawego dzieje się w Ministerstwie Edukacji i Nauki.



ZAMÓW BEZPŁATNĄ PRENUMERATĘ PRZEZ FORMULARZ ZGŁOSZENIOWY NA STRONIE WWW.WYCHOWUJMY.PL LUB MAILOWO NA ADRES: REDAKCJA@WYCHOWUJMY.PL



FACEBOOK.COM/PISMOWYCHOWUJMY
REDAKCJA@WYCHOWUJMY.PL

WWW.WYCHOWUJMY.PL